Dodatek do „Gazety Lwowskiej“.

PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

Rok XXVIII.

Tom XXVIII. — Zeszyt I. Styczeń — 1900.

Odpowiedzialny redaktor: Adam Krechowiecki

WE LWOWIE.
Nakładem wydawnictwa „Gazety Lwowskiej“.
Z drukarni Wł. Łozińskiego.
(Zarządca W. J. Weber).
1900.

Treść zeszytu.

KORESPONDENCYA
JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

Część druga.

Do Panny Zofii Rosengardt.[1])

Fontainebleau (Seine et Marne,
rue St. Honoré Nr. 22.
dnia 27. czerwca 1844 r.

Czyś ty niechora, moja najmilsza, po tej swojej nawalnej podróży? Trzy doby w powozie, cwałem, bez wypoczynku, a niepochybnie i bez snu, to i dla mężczyzny nielada byłby trud, a cóż dopiero dla ciebie, niebogo? Niepokoi mnie strasznie twoje wątłe zdrowie, a na domiar biedy nie dajesz nam o sobie ni wieści, ni słychu. Wiem, że duszek twój był ochoczy, rzeźwy, ale ciało słabiuchne, arcymdłe. Śliczny boży kwiatku, roślino ty moja wiotka, powiewna, musisz mi się teraz słaniać na ziemi w niemocy swojej, jak powój tam za wiatrem od morza. A w około cudzo, pusto, nijako. A Bóg wysoko, a swoi daleko. I nie ma, ktoby cię podniósł, pożałował, podmuchał na zbolałe oczka i czołko. Siostro moja, sieroto, poszłaś oto na chleb nasz powszedni, na chleb tułacki! Bóg ci pomóż na nowej krzyżowej drodze! Przysposobiony brat i jedyny tu twój opiekun, co się ja nie natroskam w sercu? Gorącemi chęciami i niegodną modlitwą naprzykrzam się o ciebie całemu niebu Żebym to ja przynajmniej mógł ci w czem, kiedy chcę, ulżyć? Żebym pocieszyć choć umiał? Gdzie tam, stary marnotrawca darów i łask Bożych ukaranym słusznie: jestem jak w omdleniu, czuję

---

[1]) Później pani Bohdanowej Zaleskiej.

niesmak i suchość w duszy, że nikomu ze mnie rady, ni pożytku. Modlę się za tobą, siostro! Modlę się, aby insi braciszkowie twoi, aby Aniołowie Pańscy otoczyli cię w twojem ustroniu. Niech cię tulą, jak to im samym tylko wolno, czystym i świętym duchom niebieskim. Niech tulą i całując słodko, pieściwie szepcą wciąż w serduszku: „Co mętne, brudne, niechaj zamrze na dnie, co smętne, mgławe, niech w rosie opadnie. Pokój tobie i pogoda, siostrzyczko nasza! Nie dobre dziewczę, nie zachmurzaj się no! nie wywołuj burzy zawcześnie. I bez tego dosyć ci ma dzień na swej nędzy!“ i t. p. i t. p.

Rwie mi się co chwila wątek tego listu. Ani sposób ugodzić w ton właściwy, tak ciągle coś niestrojnego hałasuje w duszy... Tobie, siostro, skrzydlatej dziś świeżą wiarą i świeżą miłością, przystoi wznieść się wysoko, wysoko w górę, żeby nieba aż dostać i uczepić się gwiazdki Bożej... Biada mi, gdybym pokalał czem złote piórka twoje, albo śmiał cię urzekać w locie. Cześć i pokłon Aniołkowi Stróżowi twemu! Cześć i pokłon od obojga!

Pomimo to, że mi straszne i żmudne pisanie do ciebie, siostro, zwracam jednak duchem po wiele razy co dzień w lube gościny do zamku nad morzem [1]). Zamek bo zaczarowany i śliczna w nim panna, jak w bajce. Wody bezbrzeżne, popielate, spiętrzone. Okolica zieleniejąca i cicha. Pokoik widny, malutki. Jak ja ciebie stąd widzę, Zośko! Widzę to niekiedy klęczącą nabożnie, jak aniołek, to znowu w płaczu i rozczarowaniu... Czy ty mnie tak wiwidzisz? Czy odgadujesz, czem boli serce? co w niem dla ciebie braterskiej czułości i błogosławieństwa? Wierzaj mi, moja droga, nigdym nie kochał nikogo rzewniej. Żyję w niewysłowionem uczuciu żalu i trwogi o ciebie. Przeraża mnie twój stan; gorejesz i cierpisz srodze. Miłość taka, jaka opanowała całą twą duszę, należy się jeno samemu Bogu. Oprócz Boga i oprócz biednej ojczyzny, nikt, zgoła nikt niegodzien takiej miłości. A cóż dopiero ja? Nie mówię tego wcale przez pokorę, ale przez uszanowanie dla prawdy. Ja niewątpliwie najniegodniejszy, bo nawet już niezdolny wzajemności. Nie wymagaj niepodobieństwa odemnie. Szkoda ciebie, Zośko, oj, szkoda! Tyś młodziuchna, niewinna, w samej wiośnie uczuć. Ja w głuchej już jesieni, sterany burzami i skwarem lata, ronię teraz listek po listku z mego wieńca, a w łonie noszę serce dawno uschnięte. Nie taiłem przed tobą dawnych swoich dziejów, powiedzże sama, czy po-

---

[1]) Chateau de Moros w Laurice, blisko Concarneau, w departamencie Finistère.

dobna na spopielonem zgliszczu rozniecać nowy ogień ofiarny? Ty mnie zawsze wyobrażasz sobie opromienionego natchnieniem, młodziutkim zapaleńcem, jakim byłem w pieśniach, kiedy te perełki z głębi gdzieś duszy nizałem na różaniec dla idealnej kochanki. Czyste złudzenie! Czasy te minęły dawno i minęły niepowrotnie! Potępieniec brzmiącej a marnej sławy, widzę dziś, jak myśl moja więdnieje, jak ścina się w lód uczucie... Niechże prawda, siostro, będzie twoją ochłodą, pociechą i uspokojeniem. Zrozumiej obecne położenie nasze, nastrój duszę do wysokości nowego powołania: zresztą oboje zdajmy się na Boga, a będzie nam błogo, będzie błogo i tu-i gdzieindziej....

Miałem tu w tych dniach niemałe zmartwienie. Odebraliśmy wiadomość z Ukrainy, że kochani nasi już nie przyjadą do wód. Nie wiemy jeszcze, co to ich nagle wstrzymało, boimy się, czy nie wzmogła się choroba Kostusi, ale zdaje się, że po prostu odmówiono im pasportu. Święć się wolo Boża! Zanadto byłoby szczęścia, a jam nie zasłużył na nie. Od niejakiego czasu codzień gorszy, zmętniało, zgorzkniało mi w sercu. Pan znowu krótko mnie trzyma, bo bez tego w mig zapominam, żem tu posłany nie po rozkosze, ale po krzyże. Owóż wszystkie moje projekta i nadzieje w nic się rozwiały. Świat mój i stan nie zmienią się tak rychło, jak tom sobie roił. Owszem, rad nie rad przykutym znowu do miejsca na długo. Daj Boże, po staremu pieśnią żywot umilić! Przyjąłem zresztą tę wiadomość spokojnie. Alboż ja od dziecka nie nawykłem do rezygnacyi i do różnego rodzaju ofiar. Bóg wie, czego ja już się nie obywał w tem życiu? A Ukraina moja? a biedne rodzeństwo? a Polska? a wszyscy i wszystko, com kiedybądź umiłował? Święć się, święć się wolo Boża! Żebyś ty mi choć, Zosio, ustatkowała się co rychlej?... Kiedy ze mnie nie ma już ani chwały Bogu, ani pożytku ludziom, radbym przynajmniej z ciebie aniołka niebiosom piastować. Bądź mi, siostrzyczko, zawsze dobra, słodka, łagodna, jak to umiesz, skoro chcesz. Pisz do mnie otwarcie, swobodnie, a spowiadaj się szczerze ze złego i dobrego. W miarę, jak mi się wypogadzać poczniesz i ja się rozweselę, a wtedy nie pożałujemy oboje...

Twój brat w Bogu *B. Z.*

Do Panny Zofii Rosengardt.

Fontainebleau, d. 17. lipca 1844 r.

Moja najdroższa, z dnia na dzień doczekując się weselszej myśli, zmarnowałem dużo czasu. Żal i wstyd pomyśleć, że kilkanaście

dni zwlokłem odpowiedź na twoje listy takie niewolące i najmilsze. Oskarżam się w sumieniu rano i wieczór i wyrzucam to sobie gorzko w modlitwie. Skądże ta opieszałość? Co mi jest? Nie wiem. Zdaje mi się, jakbym połknął wszystkie te brzydkie, słotne chmury, co od początku miesiąca włóczą się ponad ziemią! W duszy mdło, szaro i samotnie, myśl ołowiana cięży w dół, zapada ciągle w sen jakiś przykry, przerywany, a obudzenie się jeszcze nieznośniejsze, bo poczuwam się wnet do mnóstwa, mnóstwa win, za które oto cierpię chłostę Bożą. Zepsute bo ja byłem dziecko, pieszczoch Pański! Dąsałem się kiedyś lada o co, niecierpliwiłem śród najśliczniejszych dni, napierałem się to gwiazdki z nieba, to ptasiego mleka, to niewiedzieć jakich łakotek a cacek . .. a teraz Ojciec niebieski rózgą już pogroził i cyt, cyt, sza! Za każdy dzionek pogodny gotówbym dziś na kolanach dziękować i ani mru-mru obiecać na zawsze. Ociężałość moja dzisiejsza, umysłowe to lenistwo, które mnie ohydzi w oczach cudzych i własnych, a co gorsza, że najszczersze uczucia serca podaję w podejrzenie, oj! krwawa to chłosta! Nie sarkam też, ale się obżałowuję i upokarzam w duchu. Oprócz jednej tej zasłużonej biedy uczepiła się mnie jeszcze insza Od wielu dni dręczy mię ból w krzyżach, że nie mogę dwóch minut dosiedzieć w krześle. Cobądź więc zacznę pisać list czy co inszego, wnet wstawać muszę, a bylem na nogach, oho! stara drużka poety, co to ją Francuzi zowią, *la folle du logis*, chwyta pod ręce i nuż prawić swoje brednie, smutne, to wesołe po całych godzinach. Wracam do stolika, ale już niepodobna złowić wątku rzeczy, o sto mil gdzieś myśl odbiegła i niesmak, zniechęcenie zakwasza resztę dnia. Jak cię kocham, Zośko, nie kłamię, najmniej dziesięć razy zaczynałem tym sposobem i urywałem list do ciebie. Mógłbym jeszcze dodać na swoją wymówkę, że Zośka takoż winna trochę temu rozmarzeniu. Tak słodko i ślicznie szczebioce w swoich listach, że bylem jął odczytywać, zaraz ta szalona moja Jejmość w szepty: „A co? Kogo ze stepu te słówka przypominają? Hej. wieźmy Zośkę nad Roś-Rosawę, pokażmy no Porohy, Ostrowy i t. d.“ I jedziem, pieścim, wydajem za mąż, różnie się zdarza, a tu mija czas. Przyznałem się oto sam i szczerze do winy, to teraz, siostrzyczko, pogróż paluszkiem nu-nu-nu, ukarz nawet, przestań pieścić, kochać jaki tydzień, ale broń cię, Boże, mieć żal w sercu lub podejrzenie o nieczułość, obojętność. Co bo ja temu winien, że mnie tak niegodziwie wychowała Matka-Ukraina?

Pomówmyno poważniej. Niema co mówić, pod niedobrą jakaś konstellacyą zawiązała się nasza przyjaźń. Nie umiem wyciągać horoskopu na przyszłość, ale na razie coś nam wszystko się rwie. Tyś

żywa, tkliwa, zapalona, ja bezduszny, ociężały, do niczego. Jak długo taki stan potrwa? trudno przewidzieć. Wyobrażam jednak, jak musisz się dziś trapić w sobie, skarżyć na zawód i rozczarowanie. Roiłaś tak błogo, słodko, mile, obiecywałaś sobie co inszego. Roiłaś, roiłaś, moja najdroższa Zofio! Rojenie zawsze piękniejsze od rzeczywistości. Wieczny zawód i rozczarowanie, to zapłata dusz poetyckich, ba nawet pospolity los chrześcian wszystkich na ziemi. Rojenie, ideał nasz, będzie tu zawsze poronieniem. Żeby się kiedy ideał wcielił, żeby się rojenie nasze spełniło, poznalibyśmy prawdziwy pokój i prawdziwe szczęście, pokój w szczęściu a więc raj! a więc inszy byłby już niepotrzebny. Duchy do nieśmiertelności stworzone, zadomowalibyśmy tu w nicestwie. Dzięki Bogu, że tak nie jest! Dzięki Bogu, że rojenie serca jest jeno przeczuciem prawdziwego nieba: a miłość tu nasza przedsmakiem inszej w życiu wiecznem. Żyjemy, siostro moja, pod jedną prawdą Bożą, ale pod różnemi jej prawami: Jesteśmy względem siebie w uczuciach, myślach i nadziejach, jak wiosna względem jesieni, jak wschód słońca względem zachodu. I nie dziw, że w stosunkach naszych razi coś na pozór niesklejnego, a w gruncie tkwi melancholia pełna tajemnic i uroku. Z dwóch kończyn oto żywota, Ojciec Niebieski pozwolił nam lecieć w objęciu, gdzieś w nieskończoność, gdzie niema tych różnic czasu, gdzie odrodzim się w Nim młodziutkimi aniołami.

Ciągle wstaję, to siadam, ból i różne roztargnienia mącą mi myśli w głowie i spostrzegam się, że piszę bez sensu. Wcale co inszego miałem w duszy. Rzuciłem w tej chwili wzrokiem na twój list... Czcić i wierzyć przestań zawczasu, bom człowiek i grzesznik wielki, cześć i wiara należą się jeno świętości, ale nie posądzaj o zdradę mego serca. Biada, kto komu stanie się zupełnie obcy! Wszak prawda, Zośko, że ty odwołujesz, coś napisała?... W ogóle ostatni twój list ucieszył mnie bardzo. Wypogodziło się nieco w duszy, uciszyło się w serduszku. Pokornaś, dobra, słodka, modlisz się rzewnie i gorąco, to Marya Matka kocha takie dzieci i wyjedna ci wiele, wiele łask u Syna, wyjedna ukołysanie w bolach i cierpliwość i różne, różne przymioty, których ci jeszcze niedostaje. Tylko mi się nie smuć, najmilsza! Oj, z doświadczenia wiem, jak to źle. Nie trzeba mnie w złem naśladować. Smutek, straszny grzech, bo smutek to brak ufności w miłosierdzie Boże, brak nadziei w Opatrzność. Smutek to rokosz człowieczeństwa naszego, panowanie zmysłów. Jak tylko natchnieniem Bóg nie mówi do nas, zdaje się nam, że nas opuścił. On tylko zasłonił oblicze swoje na chwilę, ażebyśmy mieli zasługę wiary, i dlatego, żeśmy niegodni czuć ciągle bez

przerwy, jak nas miłość Jego piastuje, znika On nam czasem. A wtedy otchłań, otchłań przed oczyma i mgławo i straszno...

Dość, duszko, na dziś, już i nosek pióra spisał się, a mój temperujący gdzieś w Paryżu. Jak ty się masz, moje kochane, lube, śliczne dziewczę? Mam w Bogu nadzieję, żeś o swoim brzydkim kaszlu już zapomniała. Szkoda, Zośko, że próżnujesz, mniejsza o czytanie i pisanie, ale muzyka grunt, jeśli fortepian ladaco, to lepiej wróć się tu bliżej, a już też i tęskno nam za tobą. Czy miałaś wiadomości od matki? Modlę się za nią i za tobą po wiele razy na dzień. A myślę o Zośce niemal ustawicznie, bo kocham, bardzo kocham.

Ukołysanie tobie i pokój w Panu, siostrzyczko!

B.

Mój ból w krzyżach przeszkadza mi w pracy. Nie mogę przepisywać mojej Potrzeby Zbaraskiej. Czytam nawet, stojąc albo chodząc. O natchnieniu ani wieści, uciekło na Ukrainę. Nie wyrzekam, bo Pan Bóg to nagrodzi czemś innem, n. p. cierpieniem i rezygnacyą, któremi łatwiej kupić niebo niż hymnami. Poezya to dar niebezpieczny. Nie piszę więc wierszy, ależ za to dumam. Wydumałem... już nie ma miejsca.

Do księdza Floryana Topolskiego.

Fontainebleau. 20. lipca 1844 r.

Chowaj Boże, abyśmy mieli za złe, żeś przeniósł się na nową siedzibę! Jak tobie, kochany, drogi Ojcze Floryanie, tak i nam nieba sinego a zielonego obszaru dawaj co najwięcej! Albożmy się porodzili na mieszczuchów? A potem, co nas może przywiązywać do tego lub tego kąta na czużyni? Bolejem tylko, żeś sam, samiutki w pustce, jak palec. W Paryżu miałeś doktorów, różne drobne wygody, mogłeś to z tym, to z owym trochę rozerwać się, pogawędzić. A teraz siedź i dumaj między czterema ścianami, a do tegoś chory, zbolały w całem ciele i w sercu. Smutno mi i gorzko na wspomnienie, że nie mogę ci nieść ulgi, pociechy w twoim biednym stanie, że nie mogę codzień po staremu choć przytulić do piersi, pożałować ziomka swego, jakbym to powinien i jakbym rad z duszy. Dziej się wolo Boża!

Dobrze, mój ukraiński druhu, żeś jął się pióra. Praca twoja będzie z pożytkiem i zbudowaniem dla nas, a tobie samemu osłodzi

nieco nudę, choroby i pustkowie, roztargnie przynajmniej mile skołatany umysł. Szczęść Boże, zdaje mi się, że forma listowa najwłaściwszą będzie dla twoich pamiętników, bo nie krępując myśli ścisłym ładem historycznym, nastręczy ci pole do różnych ślicznych ustępów i tkliwych uniesień. A tobie tego potrzeba, boś przedewszystkiem człowiek serdeczny, nasz brat Ukrainiec. Zresztą o Indyach wiemy skądinąd, tyle bo dzieł już nadrukowano, a ty tak pisz, abyśmy nad Gangesem widzieli jeno wciąż świątobliwego missyonarza, swego spółrodaka.

Mają tu dziś przyjechać do nas w gości X. Hieronim i Królikowski. Może mi wskażą sposób posłania ci stąd kilkunastu franków, bo przez pocztę rzecz to arcyniewygodna i żmudna. W każdym razie zapożycz się tam u kogo tymczasem, a ja za tydzień od dzis dług twój osobiście zapłacę. Oj, biedny ty, biedny nasz drogi w Chrystusie bracie! Ale myślę sobie czasem: *Ecce vere non potes duo gaudia habere, delectare hic in mundo et postea regnare cum Christo.*

Polecamy się obydwaj twojemu anielskiemu sercu i prosim o święte modlitwy! Całujemy także ręce i ramiona z braterską ukraińską rzewnością.

Twój serdeczny

Bohdan.

O Witwickim po dziś dzień ani wieści, ni słychu. Nie rozumiem, co się znaczy, że nie dotrzymał nam obietnicy. Pospolicie zawżdy bywał mi słowny. Lękam się, czy nie zachorował na seryo w mękach tam pryśnicowskich. Szkoda, że lada szarlatanowi zaraz gotów uwierzyć. Ja niewiele pracuję, dużo jednak czytam, a więcej jeszcze dumam i może co w końcu wydumam. Dokuczał mi także przez te dni słotne ból w krzyżach i ból zębów i zły humor i t. d.

Do zobaczenia się

B.

Do Panny Zofii Rosengardt.

Fontainebleau, 26. sierpnia 1844 r.

Aż serce rośnie, a skacze, a płacze w łonie, tak mile i słodko zaszczebiotała mi biedna, daleka, długo zasępiona, jaskółeczka moja. Błysnął jej złoty dzionek, to porwała się w lot ku niebu. Witajże, o! witaj gościu ty mój, pieściwy gościu od morza! Spółcześnie skąd-

inąd jeszcze zaleciał głos niewolący, luby, a nabrzmiały cichym smutkiem, jak okolica tam śród stepu a mogił. Bóg wam zapłać! Chuchnęłyście na mnie razem, jak zmówione światłem i ciepłem swojem. Lekko mi, błogo, młodo w duszy, jak ongi, kiedym bujał na inszych wodach żywota, na inszych wodach, które wstecz oto popłynęły na zaklęcie wasze, siostry czarodziejki! Nurek ja niegdyś na oceanach Bożych, toż gotówbym zawrócić w głąb otchłani swoich, po konchy, muszle, po bialutkie uryańskie perły na paciorki, na różańce dla was, obiedwie moje pocieszycielki. Och! jakbym rad śpiewał... Ale odśpiewałem już swój hymn ku wiośnie, a teraz brzydka, słotna, zimna jesień, to potrzeba stulić się w sobie, oniemieć do czasu, aż polecę do cieplic, gdzie insza piękniejsza i bez końca będzie wiosna. Zośko, białoskrzydlaty ptaszku z mego stadka, tam cię, tam zapraszam na piosnkę!

Zośko, jak ci ślicznie, jak do twarzy w świeżej sukience, jaką ci na święto swoje Matka Boska położyła pod głowy. Bądźże baczna, roztropna. Noś ją z poszanowaniem. Marya ma tyle swoich aniołków, którzy ci po kolei przyniosą insze jeszcze sukienki na różne święta, ależ bądź zawsze, jak dzisiaj, dobrą, pokorną, kajającą się we łzach i w modlitwie. Wytrwaj w dobrem do końca! Nie mów, dziecię moje, że to niepodobieństwo. Niepodobieństwo, słowo to brzydkiej pokusy, którego nie zna wiara. Oprócz tej białej, czystej sukienki, z palmą jeszcze w ręku stanąć potrzeba przed Chrystusem, tak rozkazał sam swoim ulubionym. Życie tu nasze na ziemi ciągłem jest bojowaniem. Walka z światem nielada trudna, ale serce przy sercu, dłoń w dłoni wspierajmy się w kilkoro, a przezwyciężym złośnika. Królestwo Boże jest wewnątrz nas, a więc i Chrystus z nami, to nie lękajmy się niczego¡

.... Moja droga! przejrzałaś już, bo wiesz dobrze wartość wszystkich rzeczy. Zachciewa się nam używać, a wierzyć nie chcem, że nie ma co. Gdyby na tej pustyni rósł jaki owoc niezatruty, czyżby nam go nie dał Ojciec Niebieski? Gdyby choć jeden był, jeden tylko, jużby się ziemia wygnaniem nie nazywała, jużby i do nieba wiele tęskno nie było. Oj, znam ja długą litanię twoich żeby! Wciąż niepokój dzwoni z łona, insze, insze, znów potrzeby! liczba zer a nieskończona, niż chwil w życiu więcej żeby. A wszystkie, wierzaj mi, grzech i nicestwo. Zośko najmilsza, ogarnij całą dusza piękność i zapomnij się w niej, tyle bo twego, tyle bo naszego! Jedyna tu słodycz, jak powiada mój spółukrainski Malczeski, „w wzajemnym zachwycie serc wiernych, niezgadnionych, zanurzyć owo życie.“ Dość tego dobrego! Nie jestem dziś w usposobieniu kazno-

dziejskiem, bo mi ustawnie gwarzą w myśli głoski obydwóch siostrzyczek. Żeby! ty wiedziała, co tamta duszka ze stepu popisała mi w ostatnim liście. Doprawdy, na klęczkach trzebaby czytać jak modlitwę. Co bo w tych jej dumaniach głębokości i świętego zbudowania. Radbym się z tobą podzielił nauczką, bo arcy, arcymądra, ale dużo przepisywać i wolę żywym kiedyś głosem wrazić ją tobie w serduszko. Kiedy ty już, Zośko, przyjedziesz bliżej ku nam? aby przynajmniej choć raz na miesiąc widzieć się. Strasznie tęsknimy za tobą obydwa. I Józef doprawdy, jak zakochany w tobie, a mnie złość i zazdrość, że jemu więcej wolno niż mnie. Przyjeżdżajno! Czas bo, czas, abyś troszkę popracowała, próżniaczko! O muzyce już ani słychu, a Zośka wie, że to źle i nie do darowania.

Wielce, o wielce rozradował mnie twój list. Przeczuwałem zawsze, że będzie z ciebie pociecha i zbudowanie. Czemuś wszystko dziś we mnie chwali Pana, jak po zwycięstwie, czemuś dziękuję Mu za ciebie, jakbyś wytrwała już do końca i wszystko już po końcu było. Módl się, siostro moja, módlmy się oboje! Oby Chrystus Pan był zawsze z tobą, abyś w każdej chwili czuła wejrzenie Jego na czole swojem.

Bądź mi zdrowa, duszko!

Bohdan.

O sobie, moja droga, nie wiele mam donieść. Jestem zdrów, krzyże trochę pobolewają, ale na to nie ma rady, to stan mój i wiek tak ciemiężą. Czytam dużo, dumam co niemiara, przygotowuję się do długiej pracy na zimę, praca będzie prozaiczna, ale cóż robić, kiedy Muza moja przeniewierzyła się, ucieka gdzieś do młodszych. Oczy po dawnemu nie bardzo statkują, ale ręce, zdaje się, że wybielały . . .

B.

Do Panny Zofii Rosengardt.

Fontainebleau, 4. września 1844 r.

Siostro moja droga! Kochany nasz a świątobliwy Ojciec Floryan [1]) skończył swoje cierpienia, usnął lekko w Bogu 26. sierpnia. Nie ma co żałować zmarłego, bo złączył się z Panem swoim, którego miłował i któremu służył od najmłodszych lat, ale mnie ubyło

[1]) Topolski, Kapucyn.

oto na ziemi jeszcze jedno serce, przy którem tuliłem się w boleściach moich. Niech się święci wola Boża! Smutno mi tylko, smutno na śmierć, że nie zdążyłem do Paryża wczas, abym zamknął mu powieki. Snać, nie byłem godzien tego za grzechy moje. Oby się już poprawić! aby co rychlej pobłogosławił mi z nieba. Pogrzebaliśmy Ojca Floryana w Montmorency obok Niemcewicza i Kniaziewicza. Poczciwa twoja Luiza w nieutulonym płaczu odprowadzała z nami aż na cmentarz zwłoki świętego rodaka.

Powinnaś, moja droga, odebrać tę kartkę 6-go wieczór lub 7-go zrana. Zaraz biegnij do swego kościółka i wyspowiadaj się, abyś 8-go mogła przystąpić do Najwiętszej Komunii na intencyę swego brata. Dzień ten (święto Narodzenia Panny Maryi) wielce jest uroczysty i tajemniczy w życiu mojem. W dniu tym pożegnałem Ukrainę, w dniu tym pożegnałem Warszawę i Polskę, i w różnych latach różne okoliczności życia wiążą się z tym dniem. My tu gorąco będziemy się modlić. I ty, Zośko, módl się w podniesieniu ducha, módl się do Bogarodzicy. Niech mi wyjedna u Syna nowe łaski i dary ku nowej epoce, która zbliża się dla ludzkości brzemienna wielkimi wypadkami. Ludzkość cierpi strasznie i dopomina się cudu. Cud się stanie. Nastąpią niesłychane próby i łzawe i krwawe. Błogosławiony, kto wytrwa do konca, kto wytrwa i w ciele tu wykształci się już na ducha. Ciemno się wyrażam, bo ciemno widzę, bo przed oczyma duszy gruba mgła, brudne wyziewy ziemskie uwijają się ustawnie. Strach pomyśleć, jaki ja grzeszny! Módlmy się, siostro, społecznie, bo nie darmo ja twoim bratem. I w tem tkwi Boża tajemnica, błogosławieństwo lub potępienie. Oczyśćmy, siostro, coprędzej serca i myśli w skrusze i modlitwie. Czas! o, czas! Marya Panna na chmury żywota zaświeci nam tęczą, przymierzem swojem i rozradujem się po anielsku, wszyscy wy moi. Ciebie i wszystkich moich opiece i łaskom Bogarodzicy poruczam i oddaję teraz i na wieki wieków Amen.

Bohdan.

Do Panny Zofii Rosengardt.

Fontainebleau, 17. września 1844 r.

Bóg ci zapłać, dziecię moje, Bóg zapłać stokrotnie za spółczucie i spółuczestnictwo w nabożeństwie na dniu tyle dla mnie pamiętnym urodzenia Przenajświętszej Maryi, Matki naszej spólnej. Cudowne było to twoje przeczucie! cudowny sen i cudowna, ty sama

duszko! Zbudował nas bardzo i słodko rozrzewnił twój ostatni list. Taka boś mi pobożna, pokorna, poczciwa, a miłująca i anielska, że doprawdy nie wiem, jak na ciebie pochuchać, ażeby niepokalać promiennego czołka i białych lśniących piórek. Ukorzony w duchu i bolejący, powtarzam sobie wciąż: Panie! Panie! ja niegodzien wcale takich sióstr, takich twoich aniołków! Przeniewierzyłem się Tobie bez końca, zmarnowałem w złości tyle łask i darów, że miłosierdzie Twoje przeraża mnie, jak potępienie, bo surowa i coraz surowsza odpowiedzialność cięży na duszy. W glinianej mojej, brudnej, steranej lepiance, jak ugoszczę duchy niebieskie. które pukają ustawnie do drzwi, do serca, takie czyste i piękne. Panie! Panie! matka moja poczęła mnie w grzechu i tarzałem się wiele lat w kale i po śmieciach tego świata, jakże ich ugoszczę? Panie! Ty sam ostrzeż ich, niech przejrzą się we mnie bliżej i przelęknione niech pierzchną sobie co rychlej! — Droga siostro! przypatrzno się wskróś, jak ja brzydki. Mnie przystoi śnić raczej o włosiennicy i popiele, niż o miłostkach i godach tu żywota. A przecież dziwnem przeznaczeniem uwikłałem ciebie, mój aniołku, w losy swoje. Bogu jeno wiadomo, co się w tem święci. Pokusa czy zbawienie dla obojga? Myślę czasem, że w skarbcu niebieskim jest czyjaś wielka zasługa, niby weksel na moje imię, i zasługa cudza, bo nie mam ani odrobinki własnej. Owóż ta zasługa przeważa niekiedy moje winy, a wtedy dzieją się cuda Boże nademną arcykrewkim i ułomnym z przyrodzenia. Inaczej nie umiem sobie wytłómaczyć ani tych kilku błogich chwil w życiu, ani tylu natchnień i uczuć świętych, ani miłości tylu duchów podniosłych, jak ś. p. Floryan i wy, siostry moje. Po prostu łaska to Bogarodzicy, której mnie, sierotę, powierzyła ongi w kołysce matka moja, łaska ta ustawiczna zasłania mnie przed słusznym gniewem Syna. Bogarodzica to. jak niedawno rozkazała była aniołom swoim pożyczać mi skrzydeł, tak teraz wam, duszkom, rozkazuje pożyczać tchu świętego, aż wzmocnię się i nabiorę siły na dni ostatniej próby. Nie można wejść do nieba bez palmy, do czyśca nawet nie wnijdzie nikt z próżnemi rękoma. Czas mi, o wielki czas uderzyć w proch czołem, pokajać się w głębi duszy i jąć się oburącz pługa. Teraz dopiero zaświtał mi dzień zasługi. Własnem, długiem, mozolnem usiłowaniem zapracować sobie trzeba chleb duchowy. Dawno to ja i dobrze wiedziałem, ale w łasce widomej i skrzydlaty natchnieniami tak się byłem rozpieścił i roztargnął, że jak dziecię nie chciałem wierzyć, iżby co słodkie, co miłe skończyć się kiedy miało. Jątrzę się, bywało, niewymownie na wszystko, za lada drobnostką; żyłem niejako w ciągłym rokoszu przeciw Opa-

trzności. Toż wielką miłością serce mi dzisiaj rozkwitać poczyna ku ludziom, bom po raz pierwszy wielką ich nędzę zrozumiał. Pracownicy to Pańscy w ciemności, chłodzie, niedostatku i niebezpieczeństwach wielu, a jam dziś z wyżyn moich zstąpił pomiędzy nich, stałem się jako najniższy brat. Pokorna i cicha praca maluczkich, policzona niewątpliwie u Pana drożej niż dumne i brzmiące wieszcze nasze zamyślenia. Bo jakże używamy na czas pożyczonych skrzydeł?... Nie chcę o tem spominać, oby i Bóg zapomniał! Widzę teraz jasno jak na dłoni i złe, którem broił, i dobre, któregom nie spełnił. Mam szczerą chęć i wolę przeinaczyć się w jestestwie swojem. Wymódlcie mi, siostry, pokój, cierpliwość, statek, niech służę Panu i chwalę Pana nie po staremu, ale całkiem już przemieniony. Siostro! uroczysta godzina próby, którą przeczuwamy oboje, zadzwoni niebawem, tuż, tuż nad nami Pan! Módl się, abyś nie powstydziła się przed Nim brata; abyśmy dłoń w dłoni stanęli przed krzyżem na świadectwo prawdzie. Moja droga! w cudownym, prześlicznym śnie twoim ja to jestem ta niemiła ofiara, ta czerwona róża, nad którą Pan tak gorzko i okropnie bolał, ale ty, mój biały kwiatku, rozdobruchasz Go, przebłagasz za mnie. Bóg ci daj, siostro, częściej takie widzenia, bo błogosławion, komu się śni Chrystus. Uświęciłaś już znacznie dziewczęcą duszkę twoją. Musi mile z niej buchać woń modlitw, kiedy ściąga aż z nieba takie obrazki od Boskiego Oblubieńca. Zośko, módl się, bo po widomu Pan cię miłuje, a bądź pokorniejszą codzień i lepszą, to i nas umiłuje w tobie. Jak ja się tobą cieszę, siostro, pycho ty moja! Jak ci z duszy błogosławię przy pacierzu rano i wieczór. Troszkę to tam interesu w mojej modlitwie, bo oczywiście mieniam brzydką, zaśniedziałą miedź za śliczne, jasne złoto. Zośko droga, najdroższa, nie rachuj się ty ze mną, ale wyznaj wszystko przed Panem za dobrą monetę. W niebie kiedyś spłacę ci dług ziemski świętemi, niecielesnemi pieszczotami.

18. września. Wczoraj goście, a jeszcze bardziej mój ból w krzyżach, albo krzyż boleśny nie dały mi dokończyć listu. Zresztą i kartka do ciebie Józefa nie była gotowa. Dziś jestem całkiem w inszem usposobieniu, a raczej bez usposobienia. Od niejakiego czasu Fontainebleau' nieco się zaludniło. Przybył tu na mieszkanie Wielogłowski z żoną i córką, a z niemi na jakiś czas i A. Duński. Jesteśmy tedy w ciągłym ruchu, na przechadzkach, to w pogadankach, bo Wielogłowscy dawni znajomi i właściwie dla nas tu przyjechali. Oprócz tego mam Stasia Tomaszewskiego. Wzięliśmy go na kilkanaście dni na wieś, aby użył przecie jako tako swoich wakacyi.

Nowy ten świat fonteneblowski trzyma umysł w niemiłem roztargnieniu. Odwykłem całkiem od towarzystwa, potrzeba się jednak przezwyciężyć, zwłaszcza, że niebawem urządzę się trochę inaczej i znowu powróci dawna cichość.

Zośko moja najmilsza! smutno mi wciąż po kochanym moim i świętym Ojcu Floryanie. Nie mogę się ukoić w żalu, że nie byłem przy jego skonaniu. Gryzę się w duszy, bo istotnie przez moją na razie opieszałość, przez brak przeczucia opóźniłem się o parę godzin. Głównie jednak nie byłem godzien tej łaski. Wyraźnie i niemal dotykalnie taka była wola Boska! . . . .

. . . .

Towiańszczycy siedzą cicho na zewnątrz, ale wewnątrz mają już waśń, herezyę, słychać, że wyprawili poselstwo do Mistrza, aby powagą swoją zatamował spór. Pani Hoffmanowa już pewnie we Włoszech. Czytałem jej długi literacki list do Plichciny, rozmiłowała się bardzo w Trentowskim, z którym się w przejeździe przez Fribourg zaznajomiła. W Poznańskiem prześladowania niewielkie, ale za to w Polsce Kongresowej i u nas na Rusi niesłychane. Pan Bóg musi się już wkrótce zmiłować, bo zdaje się, że miara złego dopełniła się. Szlachta jednak broi po staremu i za nią to pokutujem wszyscy. Boli serce pomyśleć, jacy my źli i niepoprawieni i żalim się na Opatrzność i urągamy sprawiedliwości Boskiej. A lud nasz? kochany, poczciwy, święty lud! lata i stólecia mnogie cierpi okropnie i milczy i spodziewa się w Bogu. Och! w nim i z nim zbawienie nasze doczesne i wieczne. . . . .

. . . .

Siostro moja, pokój tobie, pociecha i podpora z nieba. Chrystusowi Panu i Matce Jego polecam cię. Niechaj cię wyhodują na wielką służebnicę sobie.

Krzyżem żegna

brat

Bohdan.

Do Pana Jana Koźmiana.

Fontainebleau, 30. września 1844 r.

Kochany Janie! Dziękuję ci najuprzejmiej za serdeczną pamięć, za nowinki i przesyłki z domu. Bóg ci zapłać za wszystko dobre dla nas. Piszę dziś kilka jeno słów, bo nie mam czasu. W obydwóch listach nie położyłeś swego adresu, ale jadę wnet do Paryża, to do-

wiem się u księży lub u Karola i za powrotem zaraz obszernie ci odpowiem na różne zapytania. O Karolu Z. ani wieści, ni słychu, nie wiemy, co się to znaczy. Walerostwo [1]) zamieszkali tu z nami. Przybył z nimi i X. Edward [2]), niby to zdrowszy, ale po staremu wątły na siłach. Boimy się, aby mu nasz ostry klimat nie zaszkodził, i ma racyę X. Piotr [3]), że się trochę dąsa na nieposłuszeństwo Edwarda. Lada dzień spodziewamy się X. Józefa [4]), a X. Hieronim [5]) z twoim bratem włóczą się po trzech królestwach brytańskich. Nie wiemy, jak mu się powiodły kazania w Londynie. Józef mój w Paryżu, ale za niego i za siebie ściskam cię i pozdrawiam najczulej. Spieszę się na statek parowy, a więc żegnam aż do pogadanki za kilka dni.

Twój najżyczliwszy w Bogu

Bohdan.

Do Panny Zofii Rosengardt.

Fontainebleau, 7. października 1844 r.

Moja droga! Kilka jeno słów napiszę, bo mam dziś i serce bardzo ściśnione i myśli jak na falach. Przybył mi nowy krzyż, krzyż tak ciężki, że powinienbym upaść pod nim. Cóż na to powiesz? Nie upadam wcale. Owszem czuję w duszy cudowne uspokojenie i rezygnacyę, które wyraźnie ktoś dla mnie wymodlił. W krzyżu moim widzę, jakby osobną łaskę Bożą, jakby szczęśliwe rozwiązanie dramatu, który się strasznie wikłał przez żywot. Koniec tuż, tuż! Siostra moja rodzona [6]), którą najwięcej kochałem w rodzinie, dostała obłąkania. I dziwne obłąkanie. Widzi wciąż to matkę naszą, to mnie i ugania się za nami w nieutulonym płaczu. W liście do mnie widać wielką boleść moralną, ale zaręczam, o wielu rzeczach mówi jak najprzytomniej. Takie rozpasanie czułości, taki stan exaltacyi w kobiecie niemłodej, w matce dorosłych dzieci, z natury cichej i prostej, napełnia mnie zgrozą. Coś musiało zajść, czego nie rozumiem. Moje Mańcia [7]) i Misia [8]) pielęgnują chorą z całą

---

[1]) Wielogłowscy.
[2]) Duński vel Karski.
[3]) Semenenko.
[4]) Hubego.
[5]) Kajsiewicz.
[6]) Antonina Linowska.
[7]) Pani Iwanowska.
[8]) Pani Poniatowska.

troskliwością. Urywam na tem, wolę ci to opowiedzieć ze szczegółami ustnie, za rychłem, daj Boże, widzeniem się naszem w Paryżu. Módl się duszko na intencyę mojej siostry i za mnie także.

Gości tu huk, wciąż ktoś przyjeżdża, to odjeżdża i rad nie rad muszę przyjmować wizyty. Miesiąc bo winogradowych kuracyi. Wczoraj przybył Mickiewicz z żoną i Różycki, półkownik, obydwaj moi niegdyś najmilsi. Różycki był u nas dziś z kazaniem, kocha nas po staremu, ale najzacięciej wierzy w Towiańskiego. Spłakaliśmy się w objęciach. Z Adamem wczoraj Józef też samą miał scenę. Zapewne przyjdzie do mnie, bo zamieszka jakiś czas w Fontainebleau, dziś żonę wyprawił do Paryża z Różyckim. Powitanie będzie dla obydwóch bolesne, ale niech się święci wola Boża! Jestem gotów do rozprawy. Zdaje mi się, że umyślnie przyjechali, aby na nowo kusić. Płaczą, że odrzucamy zbawienie i własne i narodu. Coś tam u nich gotować się musi, bo złagodnieli, zaczynają odwiedzać znajomych, byli u jen. Mycielskiego. Daj Boże! aby to nam wyszło na wzajemny pożytek i pociechę. . . . .

Brat

B.

Mam, Zośko, gołąbkę, która od miesiąca przyleciała do mnie skądeś sama. Zapomniałem ci o niej napisać w dawniejszych listach. Osobliwsza kochanka i podziwia wszystkich, takiej przykładnej wierności, że ani na kwadrans nie odleci z pokoju, chociaż otwarte wciąż okna, a czasem nawet wyrzucam ją na dwór umyślnie. Kto wie? co się w tem święci? Czasem sobie myślę, że ją ktoś przysłał na zwiady.

Do Pana Jana Koźmiana.

Fontainebleau, 11. października 1844 r.

Wstyd mi doprawdy, kochany Janie, że tak ci się źle odpłacam za twoje braterskie i uczynne postępowanie z nami. Niema co mówić, zadłużyłem ci się nielada pod każdym względem. a osobliwie pod względem listowym. Cóż na to powiesz? Pomimo codziennej przynuki nie mogłem i nie mogłem jakoś zebrać się na list. Owóż poetycka ułomność! Ilu znałem braci w Apolinie, każdy grzeszył tem samem. Wyraźnie żaden z nas nie ma na czaszce swej guza czy *bosse* pani de Sévigné. Przyjmij ten kranologiczny ogólnik, za co chcesz, za jaką taką exkuzę. Mam ja lepsze, poważniejsze. ale

nie sposób je tobie wyspowiadać. Główna przyczyna mego dziś wstrętu do korespondencyi, w ogólności do pióra, leży daleko głębiej, — na samem dnie duszy. Nie pójdę za nią nurkiem, bo wpadłbym zaraz na zawrotne otchłanie, między Wirgiliuszowe *regna inania*. Żywot nasz taki omroczny, tumanny, to ciemno, chłodno, i niedziw, że czasem ręce opadają. Co mam w głowie i w sercu, dowiesz się kiedyś żywym głosem. Zawracam tedy w powszedniość, w to, co Voltaire nazywał, *la vilaine prose*. Pomówim sobie o rzeczach potocznych. o tem i owem, co przyjdzie na myśl.

Zacznę chyba od swojej okolicy. Od niejakiego czasu szumno tu i ludno w mojem Fontainebleau. Winograd na swojej dobie, to ustawiczny ruch i huk zdrowych i chorych, cudzych i swoich, znajomych i nieznajomych. Mickiewicz z żoną, Różycki, Zan bawili tu kilka dni, ale sam tylko Różycki był z nami po dawnemu. Adam w sektarskiej zaciętości, zapomniał na wieloletnią przyjaźń, ani się zbliżał, chociaż wiem, że w duszy nie może mieć do mnie żalu. Arcysmutno mi było, ale cóż robić? Święć się wolo Boża! Walerostwo [1]) zamieszkali tu na dłuższy czas, do nich zjeżdżają się goście, księża i różne osoby świeckie. Z Walerostwa i księży jesteśmy wielce radzi, boć to brać nasza, służąca w Zakonie Pańskim, uczestnicy nadziei ziemskich i zaziemskich. Widzisz tedy, że nasze miasteczko śród lasów straciło swój pozór pustkowia.

M .... wyładniała, rozkwitła z pączka, całą gębą śliczna i hoża krakowska dziewa. Mówię krakowska, bo nie ma w sobie nic rusałkowego, ani ruskiego. ani powiewnej kibici naszych dziewcząt, ani głębokiego ich i melancholijnego wejrzenia; niepodobna zgoła do Maryi z powieści Malczeskiego. Żonaci mówią, że lepiej! Nie wiem, ale sądzę niewiasty wedle swego ideału, chociaż to prawda, że goniąc za nim, zmarnowałem wiek i przyjdzie podobno osiąść na koszu. Żebyż to przynajmniej zmartwychwstali mi koszowi, toż wesoła ich a konna drużyna! Zresztą M ... zdaje się dobre dziecię. Pobożnie wychowana, a więc łagodna, cicha, łacno się zdoła przybliżyć do ideału żonki, jakiej chciał wielki nasz Kochanowski. Rozszerzyłem się umyślnie z tymi szczegółami, bo wiem, co pisali księża, a i mnie takoż poruczono swatanie. Ciężkać w tem ze mną sprawa, bo inszy nasz ukraiński obyczaj. Bracia moi stepowi albo wykradali z niebezpieczeństwem Laszki, albo czekali, aż same żonki do nich przyjdą, a nie wdawali się w listy. Zawszeć w tem było zdanie na sąd Boży, chociaż nieco po barbarzyńsku. Żart na bok, mój kochany

[1]) Wielogłowscy.

Jasiu, wierzę z całej duszy, że małżeństwo jeno sam Bóg kojarzy, czasem jako błogosławieństwo swoje, a czasem na karę, wedle stopnia czystości uczuć i myśli. Nic tu nie nada roztropność czyja, ni wszystkie ludzkie zachody. Trudno wybrać zgodnego towarzysza do podróży n. p. do Włoch lub Szwajcaryi, a cóż dopiero do podróży całego żywota? Nie stręczę ci więc M.... bo się to nie godzi w rozumieniu mojem. Pomogę wszakże niegodną modlitwą moją przed Bogiem, a jeśli natchnie cię ku niej postanowieniem, to i lepiej. Szczęść wam Boże! zawołam — i wtedy wysyłaj mnie w swaty. Przepaszę się ręcznikiem, jako starosta wesela, a umiem też z dawnych lat na pamięć *Wiesława*, to będą i krakowskie śpiewy.

12. października. Nie mogłem wczoraj skończyć listu, bo musiałem z gośćmi wyruszyć na rydze. O Przeglądzie twoim, kochany Janie, wiele byłoby do mówienia. Z jaką myślą i w jakim celu zamierzasz wydawać swój Przegląd? Na jakich współpracowników liczysz? Dążenia krytyczne, mojem zdaniem, niepotrzebne w Polsce, a nawet całkiem wstrętne masie czytającej publiczności. My co innego mamy w sercach i głowach, nie krytyki, teorye i t. p. Synteza nasza filozoficzna leży między ludem, niesformułowana dotąd i ledwie ją przeczuwają poeci, ale głębsza, rozleglejsza niż wszystkie niemieckie, które dziś widocznie mają się ku schyłkowi. U nas potrzeba budzić ducha ku czynom, a więc pielęgnować wiarę, miłość, piękność, poezyę, zapał i t. d., oddać je niejako pod straż i piastuństwo młodzieży naszej i kobietom. Pani Ziemięcka przeczuła była taki zawód dziennikarski, ale fatalnym sposobem wpadła w mgłę transcendentalną i rychło zamroczyła się i oziębła. Z Heglistami niech wojuje Cieszkowski a jeszcze lepiej Libelt, który jest nielada zapaśnikiem na Niemców. Strauss, Bruno Bauer, Feuerbach i spółka niegodni są, aby kto z Polaków podniósł przeciwko nim rękawicę. Młodzieży poznańskiej szkoda, ale nie ma rady, muszą ssać z owocu wiedzy niemieckiej, aż zgryzą kiedyś pestkę i zakosztują gorzkiego jądra. Nie wiem zgoła, zkąd ci przyszła myśl Przeglądu: z natchnienia czy z humoru polemicznego. Mój Janie kochany, źle się udałeś po artykuły do mnie. My poeci, ludzie planetarni, albo śpiewamy, kiedy nam dogrzewa słońce duchowe, albo milczym, kiedy zajdzie. Prozą tłómaczymy się chyba z musu i mamy w tem osobną swoją arcywyrozumowaną i rozumną racyę. Owóż światło i ciepło moje odeszło odemnie; słońce duchowe snać dzisiaj na innem półsferzu. Dumać mi teraz, to śnić w ciemnościach, a modlić się po cichu, aż zaświta znowu dzionek. Niechno zaświta! to ujrzysz, jak ochoczo i hojnie wesprę twój Przegląd. Teraz nie muś mnie, nie wymagaj

rzeczy niepodobnych. Zresztą w tych leciech krótko mnie Pan Bóg trzyma, że czasem tchu braknie, coraz nowe nasyła krzyże, luboć nie nad siły, bo pokój mój i rezygnacya także się wzmogły. Niech się we wszystkiem święci Jego wola! Doprawdy, błogo mi w duszy. Obiecuję ci jednak, mój kochany Janie, do twego dziennika żywot O. Topolskiego, spółukraińca i przyjaciela mego, którego niedawno pogrzebaliśmy w Montmorency. Cudownyż to mnich, od 16-go roku Kapucyn, potem powstaniec, misyonarz w Indyach i nakoniec pocieszyciel nas tu wszystkich. Coś anielskiego miał w całej postawie, w obejściu się z ludźmi, czysty św. Franciszek Salezy. Radbym, aby mi się udała jego biografia. Pomódl się na tę intencyę.

Cieszymy się, że ci się spodobała nasza Konstancya [1]). Prawda, że nie dorównywa siostrze [2]), ależ bo nie łatwo znaleść gdzie taką, któraby jej mogła sprostać. Tamta, to Ukraina moja wcielona, duch od stepów. Mało ją znałeś i w chwilach wcale niepociesznych. Żebyś ty czytał jej pisma! Kiedyś pokażę ci różne jej uwagi o religii, literaturze, filozofii, narodowości i t. p. Tyle tam natchnienia, głębokości, blasku, a przytem świeżości i prostoty, że klękać. Taka wszędy świeża i nowa. I nie jest to uprzedzenie moje. Niemal wszyscy poeci polscy poznali w niej i uczcili geniusz. Niech to, kochany Janie, zostanie między nami, nawet przed siostrą nie wspominaj, że wiesz o jej autorstwie.

Ex publicis głucho. Łódkę naszą pielgrzymską trzyma *le calme plat.* Odczytuj z uwagą moją *Mdłą Ciszę,* to zrozumiesz, jak jesteśmy. Zresztą partye po dawnemu szamocą się w swojej czczości. Towiańszczyki przycichli, jakaś waśń wewnątrz, ale się tają. Gromadka nasza żyje wciąż w miłości i w zgodzie. Ksiądz Hieronim rośnie nam w oczach na znakomitego kaznodzieję. Książę Roman Sanguszko w Jeruzalem z naszym Bentkowskim. Pojechało tam i wielu innych rodaków, a więc dobry daliśmy przykład. Dziękuję, mój kochany i poczciwy Janie, za wszystkie nowinki dobre i złe. Zawsze tak nam pisuj. Tym sposobem będziemy jakby w domu. Osobliwie co się dowiesz z Ukrainy, takoż o Cieszkowskim, o Zygmuncie. Bóg niech tam będzie z wami. niechaj was kocha i chroni od złego.

Bohdan.

---

[1]) Hrabina Konstancya Rzewuska.
[2]) Hrabina Dyonizya Poniatowska.

Do Pani Hrabiny Konstancyi Rzewuskiej.

Fontainebleau, 12 listopada 1844 r

Słóweczko tylko dziś, droga Kostusiu! W duszy mojej zupełnie, jak na dworze, słotno, szaro, jesiennie, to wolę sumować sam w sobie, wolę wtórować myślami w szum liści, lecących na wiatry. Zresztą Józef wyczerpał całkiem materyę. Oj! niema o czem stąd pisać. Ażeby coś wydumać miłego dla swoich kochanych, potrzebaby doprawdy natchnienia, jak do poematu. A ty wiesz, że natchnienie to Boży dech, gość z daleka, aż z nieba. Wszak znasz moją dumkę:

Świat omamień mych pomału
Niknie z pięknych mar drużyną,
Coraz rzadsze dni zapału
I łzy czucia rzadziej płyną.

Tak bo tak! Chociaż kiedym to napisał, byłem bardzo młodziutki, a teraz to jeszcze gorzej. Na około pusto, smutno, nijako, to zamieram dzień po dniu w sercu. Mówię w s e r c u, bo w duchu, w duchu nieśmiertelnym płomieni się zawżdy. Ale płomień też strzela jeno w górę i nie ogrzewa już po dawnemu swojej glinianej skorupy, musiała się przepalić, spopielić. Płomieniem tym duchowym chucham na ciebie i na twoich po wiele razy na dzień w modlitwie, chucham i w tej chwili. To znaczy się, otulam cię miłością świętą, czystą, braterską, w której wszyscy zjednoczym się kiedyś w Bogu. Pokój tobie, siostro, pokój i pomoc Boża w zapasach codziennych z pokusami. Jak w tęczę, patrz, Kiciu, w anielską naszą Nisię [1]) i w jej g w i a z d k ę, a cierp, a trwaj do końca. Niezadługo już będziemy się weselić razem. I Junka nasza to aniołek! Na godach tu życia wątpię, aby znalazła gdzie miejsce. Po naszemu przepłacze i przeboli swój wiek. W powietrzu jej dużo świętego tchu, bo nie chcę chwalić świeckiego jej talentu. Istotnie, zasłyszała coś z rozmowy mojej z Aniołem Stróżem, a dobrze, że zasłyszała słuchem dziewczęcym. W serduszku jej, pełnem świeżych uczuć, wykluł się oto śliczny ideał, który, daj Boże, aby wcielił się w nią samą, a przynajmniej po połowie ze mną. Kochana, kochana Junka rozrzewniła mnie do łez swojem współczuciem dla nieznajomego braciszka, to podziękuję jej kiedyś inaczej — piosenką. Jak się ty masz, Kiciu, na zdrowiu? Napisz, co mówi Schönlein o twojej chorobie.

---

[1]) Dyonizya Poniatowska.

Och! i ja znam twoją chorobę. Reakcya to życia, młodości, sił, co marnieją nieużyte, to w zemście swej pustoszą zawieruchą w sercu i w całem ciele. Czy przypominasz sobie, że u nas lud odgania zawieruchę krzyżem Pańskim. To perechrestysia i skażу — cur tobi! pek tobi! osena! Mistyczne te słowa zapisuje ci na receptę lekarz doskonały, lekarz z doświadczenia. Zresztą, moja droga, otrzej łzy i dalej, dalej! Nie zapomnij, Kiciu, że 19. listopada święto gwiazdki, urodziny naszej Nisi. My w ten dzień raniutko przystępować będziem do św. komunii. Uczyń tak samo. Na różnych punktach ziemi stańmy tak razem w miłości przed Panem, to może wymodlim jaką wielką łaskę dla kogo, a najlepiej dla ludu.

Bóg z tobą, Kostusiu! Bóg z wami i z nami!

Całuję raz w czołko i po tysiąc razy w rączki.

Twój brat

Bohdan.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HISTORYA MALARSTWA
NA PÓŁNOCY I W HISZPANII.

I.

WSTĘP.

Krajem klasycznym sztuki malarskiej są Włochy. Pod pogodnem niebem Italii jaśnieją barwy pełną pięknością swoją, rysują się kształty wyraźnie nawet w oddali, a lud, żyjąc przeważnie na dworze, przywyka podziwiać piękność widomą. Tu powstały w średnich wiekach, podobnie jak niegdyś w starożytnej Heladzie, małe rzeczypospolite miejskie, które szukały dla siebie chwały w tem, że mnożyły chwałę Bożą, idąc oto w zawody, kto się piękniejszemi poszczyci świątyniami; tylko że niegdyś w Grecyi rzeźba dostarczała najzacniejszej dla świątyń ozdoby, że obawiano się długo we Włoszech zbyt plastycznych postaci, kuszących do bałwochwalstwa, i przyozdabiano kościoły zrazu mozaikami, jaśniejącemi po sklepieniach na złotem tle, potem freskami po ścianach i wielkiemi obrazami na drzewie a później na płótnie wykonanemi. Niepogoda nie niszczyła fresków, wykonanych na murach cmętarnych, światła było podostatkiem w kościołach, a budownictwo liczyło się z potrzebą malowanej księgi dla ludu, nie umiejącego czytać, i budowało tumy o szerokich nierozczłonkowanych ścianach, na których można było malować do woli.

Uboga Północ naśladowała długo włoskie i bizantyńskie wzory, pokrywając wnętrza bazylik nieudolnemi malowidłami. Ale celu biblii ubogich chybiono, bo mrok zalegał prawie zawsze wnętrze kościołów o małych okienkach. Król, hrabia lub biskup, którzy łożyli na malowidła, i skromny malarz, który je wykonywał, wysługiwali się na zbawienie duszy, tworząc swoje dzieło w pokorze ducha,

ale dzieła nie oglądali wierni. Aby złemu zapobiedz, musiano powiększyć okna świątyń i uczyniono to, skoro większa szkła obfitość na to zezwoliła. Począwszy od jedenastego wieku zastąpił tedy styl romański dawniejsze bizantyńskie budowy w Niemczech i Niderlandach, we Francyi północnej i w zimnej, północnej Hiszpanii. Zyskało na tem budownictwo, pozbywając się jednostajnych martwych murów, a wytwarzając organiczny system rozczłonkowanych filarów, łuków i sklepień, ale miejsce dla malowideł ściennych skurczyło się nie mało, a znikło zupełnie, począwszy od trzynastego wieku, to jest od chwili, w której mocą konsekwentnego rozwoju raz przyjętych architektonicznych zasad strzelisty styl gotycki wykwitł, najpierw we Francyi, ze stylu romańskiego. Przestrzeń dla malowideł przeznaczoną zajęły ostrołukowe okna, przedzielone misternymi kamiennymi maswerkami, na liczne, jakby w ramy ujęte, wąskie a wysokie pola. Tu tedy postanowiono mieścić obrazy i stworzono witraże. A było to znów zdarzenie artystyczne, obfitujące w skutki, przedewszystkiem dla budownictwa szczęśliwe, ważne jednak także dla rozwoju malarstwa na Północy. Czarodziejskiem, mistycznem światłem zalane wnętrze świątyń gotyckich nabyło dziwnego uroku, a oświecenie tajemnicze wpłynęło na cały nastrój gmachów i przyczyniło się do tego, że kamieniarze starzy coraz lotniejsze, coraz bajeczniejsze stawiali tumy, poświęcając coraz więcej miejsca dla przepysznych okien, aż zamienili kościoły w jakieś zaczarowane szklarnie, w koronkę z kamienia, w której jedne tylko portale tworzyły większą przecie masę muru, tak że to, co było w bizantyńskiej bazylice jedynym większym otworem, jedyną przerwą w martwej masie muru, zamieniło się w tumie gotyckim, jakoby w kościan całej budowy.

Ale i malarstwo uległo zmianie. Najpierw musiano poświęcić długie procesye świętych lub starców kroczące dokoła kościoła, długi fryz pod sklepieniem, opowiadający dzieje święte i masywną absydę, w której kolosalny Chrystus albo ogromna Bogarodzica zasiadali w majestacie w otoczeniu dworu niebieskiego. Każde okno musiało być osobną dla siebie całością, a w każdem oknie opowiadano innego świętego legendę za pomocą obrazków tylu, ile było wąskich a wysokich przedziałów okna. Nie zdobyto się zrazu na samodzielną twórczość i w tych odmienionych warunkach; trzymano się nadal bizantyńskich wzorów, które usiłowano odtworzyć, ale nie kopiowano już uroczystych mozaik i fresków Południa, związanych ścisłą liturgiczną tradycyą, a zajrzano do rękopisów. Otóż winyety, zdobiące rękopisy, cieszyły się od dawien dawna w Bizancyum swobodą nie-

znaną wielkim wizerunkom, strojącym cerkiewne ściany. Ilustratorowie Pisma świętego usiłowali samodzielnie opowiadać, a po modlitewnikach i przy tekście dzieł filozofii chrześcijańskiej mieszczono winyety alegoryczne. samodzielnie pomyślane. Mimo całej martwoty wykonania, opartego na obumierajęcej coraz bardziej klasycznej tradycyi, można takie winyety z zajęciem przeglądać, witając w nich samodzielne artystów pomysły a czasem nawet sceny ze współczesnego życia, przy których śmiano klasyczną chlamidę, albo klasyczną nagość strojem średniowiecznych Greków zastąpić.

Kopie północne tych winyet były dziwnie niewolniczemi. W Niemczech przenoszono je, w romańskiej już epoce, żywcem do rękopisów, nie naśladując bynajmniej artystycznej swobody bizantyńskich minyaturzystów, a kopiując owszem nowe pomysły i bizantyńskie stroje z tą samą bezmyślną bojaźliwością, z którą wpierw malowano na ścianach przedługie postacie, ściśle wedle przepisów greckiego podlinnika. Tak samo nie zmienione przeszły pomysły, w Grecyi nowe, z rękopisu na okno katedralne. Kościół budował ktoś z możnych; skromniejsze z razu rycerskie rodziny, potem bogaci kupcy, a przeważnie cechy miejskie fundowały w kościele okna barwne, obstalując legendę swojego patrona; i brał się szklarz do oddania tej legendy na przeźroczystych szybach. Był to rzemieślnik niezrównany, malarz żaden; nadawał szkłu barwy pełne, głębokie, których połysk równał się połyskowi kamieni drogich, barwy których piękności nie zdołali nowożytni dotąd naśladować, a za pomocą drobnych szybek, ujętych w ołowiane ramy, usiłował odtworzyć poprostu winyetę, albo tej winyety kopię. Nawet gdy chodziło o legendę zachodniego świętego, nieznaną na Wschodzie, nie zdobywano się na samodzielne kompozycye, jedno zmieniano napisy nad temi samemi postaciami. Tylko ramy, w których szklarz musiał swoje wizerunki umieścić, i materyał, którym rozporządzał, zmieniały koniecznie charakter kompozycyi; postacie musiały się układać pionowo, musiały się stawać coraz węższemi a dłuższemi; rysunek stawał się coraz pierwotniejszym, na każdy członek używano osobnej szybki, w osobnych ramkach ołowianych, tak że figury stawały się podobnemi do najpierwotniejszej lalki drewnianej o członkach, zawieszonych na grubych zawiasach; nawet bardzo niedostateczne, zupełnie rudymentarne winyet cieniowanie stało się rzeczą niedościgłą dla najstarszych szklarzy i musiano poprzestać na użyciu jednostajnych plam o siedmiu głównych barwach tęczy.

Czem wspanialszą ozdobą katedry stawało się okno barwne, tem bardziej traciło znamię obrazu, tem bardziej było cudnie

jaśniejącym wzorem, tem trudniej było oku prostaka rozpoznać postacie. Biblii ubogich nie było już, po coraz piękniejszych kościołach, były tylko gdzieniegdzie drewniane ikony, na których przedługie postacie Boga lub świętych występywały nieruchomie ze złotego tła, otoczone wiankiem winyet, opowiadających wprawdzie święte dzieje, ale tak małych, że je tylko kapłan dostrzegał, kiedy stał przy ołtarzu, że nie istniały dla oka pobożnych rzeszy. Chcąc tedy uczynić zadość potrzebie pobożnej, trzeba było przezwyciężyć przeciwny dotąd rzeźbie przesąd i uciec się do niej.

Rzeźbie nie było dotąd wolno przedstawiać postaci świętych. Cierpiano co najwięcej płaskorzeźbę, nie odstającą wcale od tła, różniącą się jak najmniej od malowanego ikonu, i nawet Chrystusa ukrzyżowanego postać na krucyfiksie bywała rytą tylko a nie malowaną; albo pozwalano na złotniczą drobniutką robotę, z kruszcu lub z kości słoniowej, zabawkę dla możnych, rzeszom niedostępną. Nie zabroniono jednak rzeźbie przystępu do kościołów, muzeów ówczesnej sztuki i owszem przypuszczano ją do ozdoby domów Bożych. Rzeźbiarze wykonywali ramę ściennych malowideł, ozdabiali odrzwia i ściany zewnętrzne starodawnych bazylik i na grobowcach odtwarzali postacie umarłych. Prawda, że i tu nie było prawie mowy ani o posągu, ani choćby o wypuklejszej płaskorzeźbie, że i tu miano przed sobą tylko ryte w kamieniu, a pstro i jaskrawo ubarwione zarysy, pierwotniejsze jeszcze od ikonów, podobnie jak późniejsze okna, pozbawione cieniowania wszelkiego, w siedmiu barwach tęczy malowane; ale rzeźbiarze nie potrzebywali kopiować kompozycyi tradycyjnych; utwory ich nie wyobrażały nawet najczęściej określonego bliżej przedmiotu i wyobraźni artystycznej zostawiono swobodę. Na płaskorzeźbach jedenastego wieku widać tedy sceny myśliwskie i bojowe, walki ze smokami i poczwarami, centaurów, guślarzy. Rzeczy te wykonane tak grubo, że nie można ich nazwać dziełami sztuki, ale to nieudolne utwory swobodnej przecie artystycznej fantazyi.

Rzeźba na Północy nie straciła tej swobody, kiedy nastanie romańskiego a później gotyckiego stylu zakreśliło dla niej większe zadania. Kościół cały omal że się nie zamieniał w dzieło snycerskie: składał się z samych toczonych filarów, gzymsów, odrzwi, głownic, maswerków. Każdy szczegół obrabiał kamieniarz, który w ten szczegół duszę wkładał; każdy szczegół stawał się osobną, żywą całością, ożywioną jeszcze przez pokost jaskrawych barw. Na płaskorzeźby nie było już miejsca; zamiast scen myśliwskich i wojennych zaczęto rzeźbić liście i powoje, usiłujące naśladować i kształty i barwy na-

tury, coraz bardziej wypukłe, coraz bujniejsze i piękniejsze; wiły się koło każdego gzymsu, zdobiły każdą głownicę; poczwary, smoki i centaury poszły za przykładem tych roślinnych tworów, zamieniły się w wypukłorzeźby a wreszcie w posążki, występujące wszędzie i we wnętrzu kościoła i na jego dachach, przypornicach, odrzwiach zewnętrznych; wzięła kamieniarzy ochota naśladowania natury, zwierzęta prawdziwe stanęły obok poczwar dziwacznych, najpierw małpy i djabły zaczęły się wykrzywiać dokoła kościoła, wnet przymięszał się do nich anioł i święty. Wizerunki umarłych na grobowcach zamieniły się w barwne wypukłorzeźby ludzi śpiących na łożu; legły na poduszkach z głazu, nieruchome wprawdzie, ale coraz lepiej rzeźbione postacie, ubrane w szaty współczesne, z rysów podobne do nieboszczyka, przyobleczone w barwy, przypominające życie. Rzeźba stała się sztuką, bardziej żywotną i popularną, nierównie ważniejszą od obumarłego, niewolniczego malarstwa.

Przyszło tedy dłutem kuć biblię ubogich, a miejsce na większe rzeźbione kompozycye znalazło się tylko na fasadzie kościelnej, gdzie stały otworem trzy głębokie portale, ponad którymi biegł fryz z łuczków małych gotyckich. Najpierw znów we Francyi zaczęto na fasadzie kościelnej głosić słowo Boże za pomocą kamiennych figurek, a rzeźbiarz musiał poświęcić część swojej dotychczasowej swobody i musiał się poddać przepisom teologa, wskazującego, gdzie jaką rzecz ma umieścić, i przypominającego przypisy dawnego podlinnika, który przez tyle wieków krępował malarza. Jednak zadanie było nowe i teolog musiał usłuchać rady rzeźbiarza, który sam jeden mógł wskazać sposób, w jaki kamienne kazanie można było w gotyckich odrzwiach rozmieścić, a techniczne rzeczy wykonanie trzeba było ze wszystkiem kamieniarzowi zostawić. Poczuł się tedy podniesionym w artystycznej świadomości, samodzielność pewną zachowywał nawet przy wykonywaniu ściśle już kościelnego, sakramentalnego dzieła, a strzegąc się pilnie tego, aby dogmatom w niczem nie uchybił, używał nowej techniki samodzielnie, doskonalił ją samodzielnie, pytając się natury wciąż o radę i wnosząc mimowoli coraz to nowy szczegół, wzięty z życia do swoich utworów mistycznie pomyślanych. Nieruchomie zasiadali jeszcze w głębi portalów, nad samemi drzwiami, Chrystus albo Bogarodzica, wypukłorzeźbą w kolosalnych wykonani rozmiarach, a naród świętych posągów po niżach fasady przypominał zrazu jeszcze bizantyńskie ikony, chociaż ruch jakiś śmielszy, naturalny u koronowanego przodka Bogarodzicy, albo u Panny jakiejś wniebowziętej zdradzał śmiałość artysty. Po archiwoltach portalów miał za to rzeźbiarz pole do coraz śmielszych

popisów; tu miał wyobrażać sceny ze starego lub nowego testamentu, albo z apokalipsy, takie zwłaszcza, które metafizyczne lub symboliczne miały znaczenie; wolno mu tu było także przedstawić powszednie zajęcia rodzaju ludzkiego, pracę, przez Boga ludziom nakazaną. Więc rzeźbiarz pracował niezręcznie, naiwnie, ale szczerze i swobodnie, uczył się anatomii ciała i praw kompozycyi. Jeszcze nie poczuł się rzeźbiarz osobą, jeszcze nie myślał o przekazaniu swego nazwiska potomności, ale radował się wrażeniem, jakie jego pobożne dzieła wywierały na tłumy, sam rósł i czując, że jego sztuka rośnie, doskonalił ją nieustannie. My dziś oglądamy pokaleczone posągi, pozbawione barwy; nie możemy sobie tedy wyrobić jasnego wyobrażenia, jak wyglądały, kiedy wyszły z rąk twórców, kiedy jaśniały jaskrawą barwą; ale musiały barwie zawdzięczać życie, którego im teraz brak, musiały na współczesnych robić wrażenie rzeczy pięknych, a dziwnie żywych w porównaniu z tem, co dotąd oglądali. Nowe drogi gotowały się dla sztuki.

Kiedy się rzeźba na portalu wyrobiła, weszła do wnętrza kościoła i stanęła na ołtarzu. Postacie wypukłe a barwne mogły być z daleka widnemi, choć były małe, zaczęto tedy główne zdarzenia żywota Chrystusa i Maryi opowiadać wiernym, stawiając ołtarze gotyckie, sięgające aż do sklepienia kościelnego, podzielone na mnogie przedziały, tworzące niby kartki księgi. Przedziały były zrazu małe, kwadratowe, ustawione w poziomych rzędach, spiętrzonych nad właściwem miejscem, przeznaczonem dla święcenia chrześcijańskiej ofiary, a widz miał odczytywać święte dzieje, idąc okiem z lewego boku na prawy, a rozpoczynając czytanie od góry. W każdym przedziale wyobrażano z coraz większą swobodą jedną scenę biblijną, za pomocą posążków, malowanych jaskrawo pierwotnemi barwami i obficie złoconych. Że przeniesiono rzeźbę do wnętrza kościoła, wykonywano ją z miękkiego materyału, czasem z alabastru, najczęściej z drzewa. Łatwiej dawał się ten materyał rzeźbić, dokładniej malować, urabiano tedy posągi coraz swobodniej poruszone, coraz prawdziwsze, coraz wybitniejszą charakterystykę, silniejszy wyraz nadawano twarzom. Szukano więcej prawdy, jak liniarnej piękności, zadawalniając się blaskiem barw i pozłoty. Pod dekoracyjną wspaniałością wyrastał wybitny realizm, który pozostał i później przeważnem znamieniem sztuki poza Włochami. Świętym dawano rysy współczesnych ludzi, wyrazy przesadzano nieraz aż do karykatury.

Szybkie postępy rzeźby nie mogły pozostać bez wpływu na inne sztuki. Złotnicy, porzucając ciężkie bizantyńskie roboty, zaczęli wyrabiać misterne gotyckie cacka, pełne zaostrzonych kwadracików

i trójkątów, zdobne w maciopkie posążki i emaliowane na płasko figurki, nadając wszystkim ruchom i fałdom szat swoich drobnych postaci pewną stylową kończastość, zgodną z całym charakterem gotyckiego stylu, w czem poszli zresztą za przykładem rzeźbiarzy, zdobiących ołtarze. Także na witrażach śmiano teraz odstąpić od starych, hierarchicznych przepisów, wyobrażając coraz samodzielniej sceny nieraz realistycznie pojęte, w których ludzie przyoblekali malownicze, współczesne, średniowieczne szaty. Największy postęp możemy powitać w winyetach miniaturzystów, zdobiących rękopisy biblii, tudzież modlitewniki, przeznaczone dla książąt i możnych. Już w trzynastym wieku zaczęła się we Francyi praca około wytworzenia rzeczywistego, miniaturowego malarstwa, wykonanego wodnemi farbami na pergaminie. Gotycki styl i tu oddziaływał nietylko na bogate ornamenta, wykonane dokoła kartek, albo na pierwszych literach rozdziałów, przypominających kamienną roślinność a rzeźbione zwierzęta i poczwary katedr; nietylko na formie gotyckiego odtąd pisma, ale także na ruchach i szatach ludzkich, ostro stylizowanych. Spotykamy się ze scenami biblijnemi i symbolicznemi, wykonanemi tak realistycznie, że mogłyby uchodzić za obrazki rodzajowe, gdyby się postacie malowane nie poruszały wśród bogatej gotyckiej architektury. Barw używano zawsze mało, cieniowano je przecie, próbowano perspektywicznego tła, pilnie usiłowano oddać prawdę.

Ruch artystyczny na potężnym francuskim dworze wyprzedził nawet pierwsze za Cimabuego i Giotta początki florentyńskiego odrodzenia, ale burza stuletnich wojen angielskich przerwała w połowie czternastego wieku tak doszczętnie rozwój francuskiej sztuki, że żyła odtąd przez kilka wieków tylko słabem, niesamodzielnem życiem, naśladując bojaźliwie obce wzory. Tradycya, poczęta w Paryżu, rozwijała się jednak dalej w bogatych miastach niderlandzkich, francuskiej i germańskiej mowy, cieszących się republikańską prawie swobodą, pod rozumnem berłem francuskich książąt Burgundyi a po części także w pobliskiej Kolonii. Ztąd promieniały sztuki na Niemcy, Czechy i Polskę, albo daleko, aż gdzieś na Hiszpanię, pozostającą przez długi czas pod względem artystycznym w zupełnej od Niderlandów zależności.

Rzeźbiarstwo i sztuka miniaturzystów poczyniły tak znaczne tu postępy, że były już w pierwszych leciech piętnastego stulecia bliskie wydania prawdziwych arcydzieł. Cechy miejskie przywykły teraz budować osobne przy kościołach kaplice, w których nietylko witraże, ale także i to przedewszystkie barwne rzeźby na ołtarzach opowiadały chwałę świętego cechu patrona: w mniejszych rozmiarach za-

dawalniano się prostszą, ale tem samem jaśniejszą kompozycyą. Tworzono jedną tylko główną scenę nad ołtarzem, odgrywającą się jakby wśród gotyckiej kaplicy, i tworzono drewniane posągi naturalnej wielkości. Okazywano je jednak wiernym tylko w niedzielę i święta. Zaopatrywano bowiem ołtarz rzeźbiony w podwoje, które w dnie powszednie zamykano. Podwoje te były z wierzchu pokryte szeregiem skromniejszych, kolorowych płaskorzeźb; powoli przyzwyczajono się ozdobniejsze kompozycye wypukłorzeźby wykonywać we wnętrzu podwojów. Kiedy je w święto otwierano, stawały tedy dwie mniejsze grupy barwnych rzeźb około większej grupy środkowej i tak powstawał tak zwany tryptyk, długi czas później przez malarstwo północne naśladowany, kiedy to malarstwo berło sztuki rzeźbie wydarło.

Cech malarski, istniejący w każdem znaczniejszem mieście, nie mógł jeszcze w czternastym wieku rzeźbiarskiemu dorównać, nie mógł nic przeciwstawić widnemu efektowi malowanych i złoconych posągów. Większe obrazy na drzewie malowano blademi, suchemi farbami, w ciemnym kościele mogły tylko na złotem tle stać się widnemi, nie mając tedy nawet perspektywicznej głębi, wyglądały z konieczności blado, przy rzeźbionych ołtarzach. Jedynie na miniaturach, przeznaczonych dla bogaczy a nieprzystępnych ludowi, mogli się malarze ze swoim kunsztem popisywać. Tu zaczęto istotnych cudów dokazywać. W głębi obrazów malowano zielone krajobrazy i niebo prawdziwe, dając przytem dowody najgłębszej miłości dla świeżej, wodnej, barwnej północnej przyrody i wydoskonalając z dniem każdym perspektywę. Ruchy ludzi, ich wyrazy, stawały się coraz bardziej wyrazistymi, coraz szlachetniejszymi i bardziej wzruszającymi, choć się nigdy realistycznego pierwiastku i nawet pewnej portretowej brzydoty nie wyrzekły. Barwy wodne, nie tracąc na blasku, zestrajały się w większą z dniem każdym harmonię; używając zawsze tylko tonów pełnych, cieniowano coraz misterniej, studyowano coraz pilniej grę świateł taką, jaka istotnie bywa na Północy; malowano dobrze i coraz lepiej fantastycznie piękne architektury; szaty zachowały sztywne fałdy gotyckie, ale zaczęto rozróżniać materye i malować przeźroczyste tkaniny. Nie była to jeszcze sztuka miniaturzystów piętnastego wieku, ale była to już sztuka bardzo subtelna i bezimienni twórcy winyet przygotowywali raźnie grunt pod mające się niebawem narodzić wielkie malarstwo północne.

Oczywiście był, musiał być postęp także w malarstwie na drzewie, wyobrażającem postacie większych rozmiarów. Ale mówimy o tem na domysł tylko, skoro pomników takiego malarstwa, sięga-

jących czternastego wieku a poczętych na Północy, nie mamy prawie. Najznakomitszymi są rzadkie obrazy Teodoryka z Pragi, malarza nadwornego cesarza Karola IV., zapewne Niederlandczyka z rodu, osiadłego na świetnym podówczas czeskim dworze. W wiedeńskiem Muzeum nadwornem przechowują dzieło tego malarza, wyobrażające świętego Atanazego. Na złotem tle odmalowano naturalnej wielkości popiersie biskupa w złocistym ornacie i złocistej zachodniej infule, stojącego nad otwartą księgą i dzierżącego pióro w ręku. Obraz ten zdradza raczej wpływy włoskiej szkoły Giotta, w niczem nie jest pokrewny rzeźbiarstwu północnemu; w porównaniu z ikonami bizantyńskimi odznacza się prawdą pewną i swobodą, a przedewszystkiem starannem wycieniowaniem zawsze zbyt ciemnych karnacyi.

Bardziej od dzieł pragskiego malarza każą nam się domyślać dokonanych w czternastym już wieku postępów arcydzieła, jakie trzecie już dziesięciolecie piętnastego stulecia wydało w Gandawie i Kolonii. Dla malarstwa na drzewie, wykonanego suchemi farbami, było jednak już dlatego niezmiernie trudno mierzyć się na Północy ze współczesnem rzeźbiarstwem, że nawet mniejsze wizerunki świętych dla prywatnego wykonane użytku bywały małemi rzeźbionemi ołtarzykami, zaopatrzonymi w podwoje, na kształt tryptyków, rzeźbionych po kościołach; chyba tylko skrzydła tryptyku przyozdabiał malarz obrazkami, jak to widzimy na tryptyku, przechowanym w Świętokrzyskiej kaplicy na Wawelu; główny przedmiot, po środku ustawiony, wykonywał rzeźbiarz w drzewie. Tryptyk wspomniany pochodzi z ostatnich lat dziesiątków piętnastego stulecia, a wymieniłem ten tryptyk dlatego tylko, żeby mnie polski czytelnik łatwiej zrozumiał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

NOWY SĄCZ
W EPOCE WAZÓW.

Część druga.

Rozdział I.

Topografia Nowego Sącza w XVII. wieku. — Jego obwarowanie i siła zbrojna.

Miasto Nowy Sącz położone jest na wyspie przedhistorycznego jeziora, którego wody poniżej tejże przedarły zaporę okalających go gór, uchodząc ku Wiśle i morzu. Powstałe stąd rzeki: bystry Dunajec i wartka, choć płytka Kamienica, zagłębiając swe koryta, oberwały połogie wyspiska boki i utworzyły trójkąt, niby klin ostrzem ściętem ku północy zwrócony. Wysokość tego trójkąta od północnej strony, gdzie jest największą, nie dochodzi 15 metrów nad powierzchnię wody Dunajca, a ku południowi obniża się znacznie. Na tym wywyższonym trójkącie leży miasto, a wokoło poza rzekami ściele się śliczna sandecka równinka [1]), bujna i wesoła, uwieńczona dokoła owemi pięknemi wzgórzami, rzadko kiedy na gradobicie, częściej natomiast wystawiona na wichry [2]) i powodzie. Bujność i urodzajność jej, mianowicie poniżej owego przedarcia się Dunajca, nie ustępuje Ukrainie; a kmiecie Kurowa zowią swą wioskę rajskiem jabłkiem, które Bóg upuścił, niosąc urodzaj na Podole.

---

[1]) O pochodzeniu i składzie chemicznym gleby w dolinie sądeckiej, Dr. Kazim. Miczyński Spraw. komis. fizyogr. t. 29. Kraków 1894, str. 192—215.

[2]) W pierwszej połowie XVII. wieku często uderzały pioruny w baszty i wieże miejskie, niszcząc na nich dachy. I tak w sierpniu 1603 r. uderzył piorun w basztę krawiecką; we wrześniu 1610 roku w basztę węgierską; w lutym tegoż roku gwałtowny wicher zerwał dach w bronie krakowskiej; w r. 1630 uderzył piorun w wieżę kollegiaty i uszkodził ją znacznie.

Miasto Nowy Sącz było niewielkie, jak wszystkie ówczesne warownie polskie. W roku 1651 liczyło domów 224; placów pustych, na których dawniej domy stały, 11; ogrodów 3 — prócz zabudowań kościelnych, plebańskich, klasztornych, szpitalnych, zamku królewskiego i ratusza. Rynek liczył w pierwszej połaci 11, w drugiej 6, w trzeciej 14, w czwartej 9 domów. Oprócz głównego rynku istniało 7 ulic, z pomiędzy których ulica polska liczyła domów 44, szpitalna 41, św. Ducha 11, młyńska 22, drwalska 22, furmańska czyli węgierska 16, różana 19 [1]). Wzdłuż ulicy różanej, na miejscu dzisiejszego ogrodu i gmachu więziennego, rozciągał się obszerny plac, zwany „Biskupie“, na którym od niepamiętnych czasów aż do XVII. wieku stał dwór biskupów krakowskich *(curia episcopalis)*. Oprócz powyższych, znajdowało się w obrębie miasta domów szlacheckich ogółem 9 [2]). Co się tyczy spisu ulic, domów i ich właścicieli, posiadamy nader cenny współczesny wykaz, ułożony przez Stanisława Hignarowicza, mieszczanina sandeckiego, z okazyi wybierania składki na piechotę Imci pana Henryka Kaszowskiego, łowczego wołyńskiego [3]), i na piechotę hetmańską 1. kwietnia 1651 roku. Spis ten byłby bez wątpienia nieocenionym dokumentem do topografii miasta w XVII. wieku, gdyby obok nazwisk właścicieli domów podawał również ich imiona i rodzaj zatrudnienia. Podług planu miasta z r. 1831 odpowiada dawnej ulicy polskiej dzisiejsza ulica Kazimierza; ulicy szpitalnej: ulica krakowska; ulicy drwalskiej: ulica jagiellońska; ulicy furmańskiej: ulica Kościuszki; ulicy różanej: ulica pijarska; ulicy młyńskiej: ulica lwowska; nazwa zaś ulicy św. Ducha utrzymała się dotąd.

Prawie każdy dom rynkowy był gospodą zajezdną, a większa część miała w zaułkach gorzelnie lub browary. Kościołów znajdowało się 3: kollegiata, franciszkański i norbertański. Wskutek wojen szwedzkich, morowej zarazy i rożnych kontrybucyi wojskowych wyludniło się miasto do tego stopnia, że w r. 1704 było w niem domów zaledwie 122, a na przedmieściach 67 [4]).

---

[1]) Wszystkie te nazwy ulic występują już w XV. wieku: platea polonicalis, hospitalis, sancti Spiritus, molendinalis, lignalis, vectoralis seu hungaricalis, rosarum.

[2]) Wielogłowskich, Strońskich, Marków, Tabaszowskich, Jordanów i Jaklińskich.

[3]) Józef Wolf: Senatorowie i dygnitarze wiel. księstwa litew. 1386—1795, Kraków 1885, str. 137, pisze go miecznikiem wołyńskim.

[4]) Rejestr miasta Nowego Sandcza z przedmieściami 1704 r.

Wszystko to razem wraz z starożytnym zamkiem, przez Kazimierza Wielkiego wzniesionym, opasane było murem kamiennym 12 łokci wysokim a $2\frac{1}{2}$ szerokim, i stanowiło właściwe miasto, do którego wiodły 4 bramy: grodzka *(porta castrensis)* i krakowska *(cracoviensis)* od północy, młyńska *(molendinalis)* od wschodu, a węgierska *(hungaricalis)* od południa. Prócz tego były 3 osobne furty: od strony Dunajca grodzka czyli miejska, od Kamienicy szpitalna, a od przedmieścia węgierskiego różana. Na planie miasta z r. 1783, nakreślonym ogólnikowo niewprawną ręką, oznaczone są, oprócz kościołów, zamku królewskiego, ratusza i innych znaczniejszych budynków, także 3 dawne bramy miejskie: krakowska, młyńska i węgierska. Na późniejszym planie z 1804 roku, który aż do ostatniego pożaru 1894 r. wisiał w sali ratuszowej, widać było jeszcze odłamy i szczątki murów fortecznych i niektórych baszt.

Obronę miasta stanowiły mury, bramy, wieże czyli baszty i okopy [1]. Od północy, tuż przy dawnem ujściu Kamienicy do Dunajca, stoi zamek królewski na najwyższej wyniosłości miasta, z przecudnym widokiem na góry i Dunajec. Budowla jego niezbyt okazała przedstawiała obszerny gmach jedno-piętrowy, na którym, jak jeszcze po roku 1860 utrzymane szczątki dowodzą, wznosiła się wysoka attyka z otworami okiennymi, która niezawodnie dach zakrywała. Gmach ten po środku załamany był nieco w kolano, a umocniony czworoboczną basztą, w czoło na zgięciu wmurowaną, i dwiema osobno zbudowanemi po skrzydłach. Baszta kowalska z prawej strony od północnego wschodu, z mocną szkarpą i attyką, należąca właściwie do dawnych murów fortecznych miejskich, stoi po dziś dzień i nosi niezaprzeczone piętno baroka włoskiego, podobnie jak ratusz tarnowski lub Sukiennice krakowskie i wiele zamków podgórsko-węgierskich, wyrestaurowana więc widocznie dopiero po owym wielkim pożarze 1611 r.

Od zachodu, od strony Dunajca, prócz baszty narożnej, bronił zamku mur podwójny, wyższy i niższy, panując nad mostem

[1]) Okopy, otaczające wokoło miasto, wielkim kosztem usypane były, dlatego to komisye królewskie z r. 1543 i 1615 orzekły, ażeby nikt nie ważył się paść bydła, koni lub trzody po wałach miejskich, gdyż miastu pogranicznemu bardzo są potrzebne, a przez pasienie roztaczają się i psują. Nie pierwsza to zresztą wzmianka o warowni sandeckiej. Już bowiem Władysław Jagiełło nadał przywilej, datowany w Niepołomicach 16. marca 1405 r., mocą którego cło Czchowskie od towarów, przypadające królowi, przekazuje Sączowi, wszelako z warunkiem, aby je obracano na naprawę murów, baszt i rowów obronnych. Akta grodzkie T. IX. str. 16. Lwów 1883.

i przewozem. Od północy broniła baszta środkowa, tudzież druga narożna czyli owa kowalska, wraz z bramą zamkową czyli grodzką, ponad którą mieściła się stancya pisarza grodzkiego. Z baszty tej, a raczej szkarpy jej, wychodziła wązka furtka grodzka uboczna, po wązkich schodach wiodąca na dół ku Kamienicy, wpadającej opodal do Dunajca, do dziś dnia istniejąca. O kilkadziesiąt sążni na wschód od bramy grodzkiej stała brama miejska krakowska, a nad nią potężna baszta, zwana szewską od cechu, który jej miał bronić. Dalej na wschód od niej, na skręcie dzisiejszego starego żydowskiego okopiska, stała w półokrąg stawiana baszta garncarska. Te dwie baszty, szewska i garncarska, czołem na północny wschód zwrócone, stanowiły narożnik, panujący nad mostem i gościńcem krakowskim, oraz brzegami rzeki Kamienicy.

Zamek z swemi basztami, murem między bramą grodzką a krakowską, stanowił najzupełniejszą obronę od północy. Przekopu zamek nie miał, bo położenie samo blizko 15 metrów wyniosłe, tudzież nieco dalej rzeka Kamienica utrudniały całkiem przystęp. Wjazd do obu bram był bardzo przykry, a z obu stron strzegły go strzelnice baszt, bram i murów, których ominąć nie było sposobu. Zamek nie stanowił osobnej twierdzy, jak n. p. zamek w Wiśniczu albo w Lubowli, lecz był tylko dobrze ufortyfikowanym narożnikiem miasta. Z tego powodu nie miał też obwarowania zewnętrznego od strony miasta, ani fos ni wałów — z ulicy polskiej przechodziło się od razu na dziedziniec przed gmachem zamkowym.

Baszty były piętrowe, o mocnem sklepieniu, i miały wewnątrz lawety drewniane pod armaty czyli, jak wówczas mówiono, „wiązania pod strzelbę". Przed pożarem miasta w 1611 r. wszystkie baszty bez wyjątku pokryte były dachówką; później zaś pokrywano jedne z nich dachówką, drugie prostym gontem. Każda baszta mieściła na dole „cekauz" (*Zeughaus*), czyli składy przyborów wojennych, na piętrze zaś strzelnice z wszelkim rynsztunkiem. Szczyty baszt zdobiła zwyczajnie gałka miedziana z chorągiewką ruchomą, powiewnikiem lub powietrznikiem zwaną; na niektórych jednak wznosiły się figury, wykonane przez miejscowych snycerzy, o czem wyraźna wzmianka w aktach miejskich pod rokiem 1618, 1652 [1]) i 1678 [2]).

---

[1]) Act. Consul. T. 61. p. 189.

[2]) Z sporu, powstałego między garncarzami a woźnicami, dowiadujemy się, że „sculptor Adam Reyk fabricavit statuam ligneam, in summitate turris seu propugnaculi expositam, pro summa 50 flor." Actum in praetorio sandecensi feria II. ipso die Praesentationis B. Virg. Mariae. Anno Domini 1678.

Dachy baszt zamkowych były ukryte, czyli były otoczone tak zwaną attyką. Bramy obszerne i sklepione, brukowane kamieniem, mieściły w dole izbę dla bromnego, a w górze piętro obronne z gankiem naokół wewnątrz. Brama krakowska miała na grobli zwód, a na dachu dla odcieku rynnę, i była pod gontem. Sam zwód był blachą dobrze obity, a zwodzono go łańcuchami, które chodziły na kołowrotach.

Mury forteczne były także pod gontem. Górą szedł od strony miasta, czyli od strony wewnętrznej, ganek drewniany i strzelnice, których wyraźny ślad zachował się dobrze po dziś dzień w murze, łączącym zamek z basztą kowalską [1]). Podobny mur, wysoki na 12 łokci, opasywał miasto od strony wschodniej wzdłuż rzeki Kamienicy aż po bramę młyńską [2]). W tej stronie broniły miasta, a przedewszystkiem kościoła i klasztoru norbertańskiego, oraz kościoła kollegiackiego, dwie osobne baszty: piwowarska i sukiennicza, na samym zaś krańcu ku południowi wznosiła się nad bramą młyńską czworoboczna baszta kuśnierska, a od ulicy szpitalnej wychodziła furtka do rurmuza (wodociągu).

Wspomniana brama młyńska wraz z wznoszącą się nad nią 12 łokci wysoką basztą [3]), tworzyła narożnik od strony południowo-wschodniej i przedmieścia węgierskiego i stanowiła główną obronę gościńca grybowskiego.

Od strony południowej ustała korzyść wynioślejszego położenia; ręka ludzka musiała więc tutaj dopomódz. Ogromny, na kilkadziesiąt łokci szeroki a głęboki przekop ciągnął się od Kamienicy aż do Dunajca w wygięty łuk, a wzdłuż niego od strony miasta długi mur forteczny [4]), którego środek zajmowała silna, zwodzona brama węgierska [5])

---

[1]) Przy tej baszcie znajduje się wzdłuż muru podobny ganek z kamienia, na który wiodą schody kamienne.

[2]) Brama młyńska już w XIV. wieku istnieć musiała, skoro Kazimierz Wielki na mocy przywileju, wydanego w Krakowie 1. listop. 1368 r., pozwolił Sandeczanom rozszerzyć tę bramę. Dr. Piekosiński: Kod. dypl. małop. T. III. p. 357.

[3]) Act. Castr. Rel. T. 114. p. 744. anno 1618.

[4]) Od Kamienicy aż do Dunajca rozciągał się podwójny mur, z których wewnętrzny był grubości przeszło meter, zewnętrzny zaś co najmniej $2\frac{1}{2}$ metra, a cała przestrzeń między obydwoma murami, wynosząca 7 metrów, była napełniona ziemią aż do samego wierzchu, tak iż (jak się utrzymała jeszcze dotąd tradycya) kilka wozów mogło obok siebie swobodnie jechać.

[5]) Brama węgierska odległej sięga starożytności, już bowiem w r. 1488 znajduję wyraźną o niej wzmiankę. Act. Scab. T. 1. p. 21.

z potężną basztą bednarską. Po skrzydłach tejże tkwiły w półokrąg dwie baszty: krawiecka i tkacka.

Brama węgierska, najpotężniejsza ze wszystkich, miała zwód z silnych dębowych forsztów [1]), mocną kutą blachą obity, a potężne haki podtrzymywały łańcuchy przy zwodzeniu i spuszczaniu. Główny trakt do Węgier wiódł tą bramą, ruch w niej był ciągły; za każdem więc zwodzeniem pomostu przyniesione i przywiezione błoto spadało do przekopu, dlatego wyciągano je cebrami, aby nie było przeszkody napełniania przekopu wodą. Baszta węgierska [2]), równie jak i brama, były pod gontem. W bramie była furta, a w szeroko płaskich oknach wisiały groźne organki, t. j. broń palna z kilku luf złożona; w bramie tej była także obszerna strażnica, którą w latach

---

[1]) Forszt — dyl, deska, tarcica.

[2]) O budowie baszty węgierskiej przechował się długi i szczegółowy rejestr w archiwum miejskiem: „Incipitur regestrum fortalicii per famatos dominos consules protunc residentes: Bartholomeum Gruczka proconsulem, Felicem Strasz artium bacalaureum et notarium antiquum, Josephum Milner, Nicolaum Librant, Petrum Piwniczny, Simonem pannitonsorem comparatum. Qui ex Sancti Spiritus gratia inflammati atque illustrati, unanimi consensu veteranorum consulum tociusque communitatis ad id accedente, cupientes itaque defensioni maiori huius civitatis providere, eandemque bene munitam suis posteris relinquere, et ut fama memoriaque suorum posterorum longe lateque per orbem commendabiliter diffunderetur, valeatque uberius per posteros nostros muniri, edificari atque celebrius predicari, fortalicium penes portam hungaricalem novum cepimus edificari. Quod per magistrum Albertum de Libusza feria II. post festum sanctorum Apostolorum Petri et Pauli inchoatum edificari fundamentaque iacere eiusdem fortalicii incepit anno Cristiane Salutis 1555. Quorum Deus omnipotens sua clementissima gratia principium adiuvare consilioque ad finem perducere dignetur.“ Z powyższego zapisku i dalszego szczegółowego rejestru widzimy, że budowa tej baszty z ciosowego kamienia trwała od 1. lipca 1555 do 6. marca 1557 r. Rysunek baszty wykonał Szymon Kozielski, pisarz miejski który dostał zato 36 gr. Kamieni dostarczano z Jamnicy i Kunowa, wsi poblizkich Sącza. Wapno łamano w Paszynie i wypalano tamże; w r. 1556 wypalono go w dwóch piecach na jeden raz 66 korcy. Głównemu majstrowi, Wojciechowi z Libuszy, płacono tygodniowo po 30 gr.; kamieniarzom tygodniowo po 24 gr.; pisarzowi miejskiemu, który doglądał ustawicznie robót, tygodniowo także po 24 gr. Okna w baszcie zaopatrzono żelaznemi okiennicami; dach pokryto gontem i pomalowano olejną farbą. Ogólne wydatki wynosiły 177 grzywien 11 groszy 12 denarów, czyli 283 złp. 17 gr. 12 denar. (Regestrum provent. et distribut. civitatis Neosandec. an. 1555—1580. T. 101. p. 1—17). Aż do regulacyi dzisiejszej ulicy wałowej w jesieni 1895 r. sterczały jeszcze potężne szczątki fundamentów tej bramy i baszty.

1648—1655 zamieszkiwał Matyasz, kołodziej, płacąc z niej czynszu rocznego 4 złp. 24 gr. Młyńska i węgierska brama, podobnie jak krakowska i grodzka, mieściły bronnego w izbie ogrzewanej piecem, a piętra miały zbrojne z gankami i strażnicami.

Prócz węgierskiej bramy mała tylko furtka różana, przyozdobiona zgrabną wieżyczką, wiodła ku węgierskiemu przedmieściu.

Pod murem stało kilka chałupek miejskich [1]), zamieszkałych przez biednych komorników, płacących czynsz roczny z swego podmurza. Za okopem, a po części i w okopie ku Dunajcowi, były miejskie sady, z których jeden zwał się „roratnym“, gdyż dochód z niego szedł na nabożeństwo roratne w kollegiacie.

Strony zachodniej od Dunajca, prócz rzeki bystrej i głębokiej, bronił klasztor franciszkański i mur nadbrzeżny, ciągnący się od owego głębokiego przekopu aż do zamku, miejscami podwojony, z blankami [2]); wszystko pod gontem. Prócz baszty rzeźniczej za klasztorem franciszkańskim, stała na Biskupiem druga okrągła baszta kramarska, a trzecią z kolei była już narożna zamkowa. Do Dunajca wiodła furtka w środku muru, prowadząca także do ogrodu franciszkańskiego obok zamku. Ogółem broniło miasta i zamku 13 baszt.

Furty wszystkie, któremi zwykle się przechodziło, miały kołowrot mocny dębowy, dla łatwiejszego zatrzymania przechodniów.

Fundusze na utrzymanie tych murów i baszt płynęły z ceł od wina, składu kruszców i innych towarów, przewożonych przez miasto lub spławianych Dunajcem [3]): następnie z trzeciej miary z dwóch młynów królewskich na Kamienicy, z folusza i tracza; tudzież z dzierżawy sołtystwa w Falkowej, za umyślnem nadaniem królów: Zygmunta Augusta [4]) i Zygmunta III. [5]). Bramy wszystkie zamykano pod wieczór kłódkami, klucze zaś odnoszono do burmistrza, aby ich nikomu nie otwierano. Stąd to już w r. 1543 zawyrokowali komisarze królewscy, że bram miejskich nikomu w nocy otwierać nie wolno, chyba tylko w nagłej i ciężkiej potrzebie Rzpltej. W lutym zaś 1610 r. „ordynował woźny z rozkazania Jegomości pana podstarosciego, Sebastyana Gładysza, aby każdy z miasta wy-

[1]) W latach 1640 i 1647 znajduję 7 domków pod murem miejskim, z których płacono po 1 złp. czynszu rocznego.

[2]) Blanki — rodzaj wystawy w murach, czyli gzymsu.

[3]) Porówn. Dodatki na końcu tomu I. nr. 1. i III.

[4]) Dokum. wydany na sejmie w Piotrkowie 10. maja 1567.

[5]) Na sejmie warszawskim 12. marca 1631 r. Volum. Leg. III. 335.

jeżdżał, gdy na wieży w bęben uderzą, żeby bron w nocy nie otwierano“ [1]).

W księgach miejskich *Percepta et Distributa 1601—1657* przechowały się dotąd mnogie i szczegółowe wydatki na naprawę pojedyńczych baszt, bram i murów fortecznych [2]). W r. 1639 nadało nawet miasto niejakiemu Janowi, mularzowi, domek z ogrodem za rzeką Kamienicą, ażeby zato ciągle za opłatą naprawiał nadpsowane mury i natychmiast dawał znać, gdzie grozi ruina [3]). W przeciągu 11 lat (1646—1657) wydano ogółem na ten cel 1.003 złp. 22 gr.

Poza murami miasta rozciągały się dwa przedmieścia: większe czyli węgierskie, od południa poza bramą węgierska, z 3 kościołami: św. Walentego, św. Mikołaja i św. Wojciecha; tudzież przedmieście mniejsze, poza młyńską bramą i za rzeką Kamienicą, z kościołem św. Krzyża, zwane także Zakamienicą. Na przedmieściu większem były dwie główne ulice: długa i średnia. Na obydwóch przedmieściach było 1652 r. ogółem domów 143 [4]).

Załogę miasta stanowiło mieszczaństwo, obowiązane bronić miasta swego w czasie wojennych napadów. Każdy mieszczanin, przyjmując prawo miejskie, obowiązywał się w przeciągu roku dać miastu hakownicę nową lub przynajmniej muszkiet. Każdy cech miał sobie przydzieloną basztę, czyli wieżę miejską, która raz na zawsze miała być opatrzoną w „strzelbę“ [5]), proch, kule, knoty, broń i oręż. W XVII. wieku cech kowalski bronił bramy grodzkiej i baszty własnej; cech szewski bramy i baszty krakowskiej; cech kuśnierski bramy i baszty młyńskiej; cech bednarski bramy i baszty węgierskiej. Innych zaś baszt wokoło miasta broniły cechy: garncarski, piwowarski, sukienniczy, krawiecki, tkacki, kramarski i rzeźniczy. Natomiast baszt zamkowych broniła kolejno straż, złożona z pachołków wsi: Królowej polskiej i ruskiej, czyli tak zwana „stróża zamkowa“.

---

[1]) Distributa f. 335.

[2]) Por. Annexa na końcu rozdziału.

[3]) Acta. Consul. T. 53. p. 466.

[4]) Regestr poborowy na piechotę hetmańską, ułożony przez Jakóba Mogilańskiego i Ambrożego Jachimowicza, mieszczan sandeckich. 6. kwietnia 1652.

[5]) Pod tym wyrazem rozumiano ogólnie wszelką broń palną, tak ręczną jako i wałową. Zob. rzadkie dziś dzieło — Diega Uffana: Archelia t. j. nauka o strzelbie. Leszno 1643, in folio z 60 rycinami. — Diego Uffan był kapitanem artyleryi w Antwerpii. Dzieło jego najprzód po hiszpańsku wydane, później z niemieckiego na polskie przełożone.

Niektóre cechy sandeckie przechowały w swych księgach dokładny spis zbroi z lat 1551—1622. Największe zapasy zbroi posiadała w 1594 r. baszta kowalska obok bramy grodzkiej: Hakownic 11, zbroi 8, szyszaków [1]) 9, obojczyków [2]) 6, zarękawiów 2 pary, rękawic 3 pary, rękawic pancerzowych para, pancerzów [3]) 2 pary, rusznic 7, mieczów 2, szabel 3, halabardów [4]) 6, rożnów [5]) 2, prochownic 6, ładunków 2, form do rusznic [6]) 6, knotów 4.

Cech szewski, liczebnie jeden z największych w Sączu, miał w swej baszcie nad bramą krakowską w r. 1602: Hakownic 8, prochu do strzelby beczułkę 1, lontów 6, zbroi białej [7]) 7, zbroi czarnej [8]) 4, pałaszów dobrych 6, rusznic dobrych 11, zbroi gorszej 2, szyszaków 13, ładownic 4, prochownic 4, rogów 3, halabardów 3, oszczepów 3, glewie [9]) 3, ładunków 60, w garnku prochu funt 1, zarękawie pancerzowe, rohatynę [10]).

W baszcie cechu kuśnierskiego nad bramą młyńską znajdowało się w r. 1591: Zbroi szmelcowanych 6, zbroi światłych dobrych 3, pancerz, szyszaków 4, mieczów 5, glewie 2, halabardów 2, szefelin [11]), rusznic 4, prochownic 2, hakownic 3, kul żelaznych do hakownic 66, rękawice żelazne czarne, 3 kusze z hewarem [12]), przyłbica stara zła, haczków do wieszania zbroi 12. Wydano zaś na rusznicę z krzosem [13]) złp. 10; na prochownicę $2^1/_2$ gr.; na rzemień do prochownicy $^1/_2$ gr.; za worek na pancerz 4 gr.; na pasy do mieczów 5 gr.; za 2 knoty i prochownicę 9 gr. W r. 1593 wydano na hakownicę 9 talarów węgierskich.

---

[1]) Szyszak — hełm, wysoka przyłbica żelazna.

[2]) Obojczyk — część zbroi żelaznej okrywającej szyję.

[3]) Pancerz — blacha żelazna na piersi.

[4]) Halabarda — siekiera na długiem drzewcu osadzona, kopia z okszą, bardysz.

[5]) Rożen — szpada, narzędzie do pchnięcia, przebicia.

[6]) Forma do rusznic — do odlewania kul.

[7]) Zbroja biała, światła — polerowana, błyszcząca.

[8]) Zbroja czarna, szmelcowana — czarno pociągnięta.

[9]) Glewia — dzida, włócznia.

[10]) Rohatyna — włócznia z szerokiem ostrzem, na długiem drzewcu osadzona.

[11]) Szefelin — włócznia, oszczep.

[12]) Kusza czyli samostrzał — przyrząd do rzucania strzał i wogóle pocisków, naciągany hewarem (z niem. Heber) lub lewarem. Już starym Grekom i Rzymianom znaną była kusza, catapulta, palintona, onager, tormentum, ballista.

[13]) Krzos — krzesiwo, zapomocą którego wzniecano ogień do podpału rusznic.

W rok po wojnie chocimskiej (1622) znajdujemy w tejże baszcie: Hakownic dobrych 5, starych 2, rusznic małych 2, muszkietów 5, z tych 2 z krzosem, rurka (lufa) jedna nie osadzona, mieczów staroświeckich 2, pałaszów 3, halabardów 4, szefelin, oszczep, glewia, prochownic 3, knotów 4, zbroi 3, z tych jedna zupełna, szmelcowanych 3, zbroi czarnych 2, szyszaków 5, półtrzeci kuszy i hewar, prochu półbeczki większe, kule żelazne i ołowiane, skrzynia z zamkiem, w której proch, miartuch [1]). Sprawiono 1 parę hakownic długich za 18 złp.; wydano na 15 funtów prochu 7 złp.

W baszcie cechu bednarskiego nad bramą węgierską mieściło się w r. 1606: Zbroja na 4 pachołków, kapeluszów [2]) 3, obojczyków 4, hakownic 4, rusznic 5, mieczów 6, oszczepów 2, halabardów 2, sulica [3]), 3 kusze, bęben, prochownic 6, ładunków 3. form małych 2, wielkich 2, kul wielkich 65, małych 120, knotów 4.

W roku zaś 1617: Zbroja na 3 pachołków, hakownic 7, rusznic 5, pałaszów 2, halabardów 2, prochownic 4, knotów 2, ładownic 4, prochu beczka i kule nieliczone, 3 kusze, mieczów nowych para.

Wreszcie w roku 1622: Hakownic długich 6, krótka siódma, mieczów 2, pałaszów 2, cztery zbroje z obojczykami, a dwie z kapeluszami, blach na zbroje 13 sztuk, rusznic 5, knotów 4, form 2, kul 200, prochownic 3, ładownic 2, prochu beczułka zabita; w prochownicy jest proch na rozchody.

Z powyższego zestawienia i innych jeszcze zapisków pokazuje się, że za Zygmunta III. zbroi cechowej ciągle przybywało w miarę rozwoju cechów [4]), tak że między rokiem 1591—1622 w czterech głównych basztach, broniących gościńców: krakowskiego, grybow-

---

[1]) Miartuch — miareczka do prochu strzelniczego.

[2]) Kapelusz — przykrycie głowy z blachy.

[3]) Sulica — dzida długa.

[4]) W dawnych aktach miast polskich XVI. i XVII. w. przechowało się nie mało zapisków o ówczesnej zbroi. W zbrojowni miejskiej w Tarnowie, tak ratusznej jako i cechowej, znajdowało się w r. 1555 między innymi rynsztunkami: Działo wielkie, hakownic wielkich 23, mniejszych 25, kul żelaznych do hakownic kóp 27, kul ołowianych kóp 20, form do kul żelaznych 15, prochu kamieni 20, flaszek na proch 21, harkabuz (strzelb) 3, rusznic 8, mieczów 9, kapalinów (hełmów) 17, przyłbic 10, tarcz rackich (husarskich) 12, halabardów 17, oszczepów 19, drzewców osadzonych z proporcami 20, kos spiżowych 8, żelaznych 4, chorągwi 5, bębnów miedzianych 4, zbroi pancerzowej (z miskami czyli misiurkami, obojczykami, napierśnikami, szorcami i nakolankami) na 32 pachołków... Z aktów miasta Tarnowa.

skiego i węgierskiego, znajdowało się stale samych hakownic 35, rusznic 28, kusz z hewarami do rzucania pocisków 6, kul żelaznych do hakownic z górą 2.000, kul ołowianych do rusznic niezliczona liczba, prochu beczek 4, zbroi zupełnej pancerzowej na 35 pachołków, pałaszów 26, form wielkich i małych do odlewania kul 12, halabardów 18, prochownic 19, oszczepów różnego rodzaju 14, ładownic 8.

Broń chędożono od czasu do czasu, zapijając przytem półachtelem piwa. Stąd to często przychodzi w księgach wydatków tak miejskich, jako i cechowych: „Do tarcia zbroi półachtel piwa braciom dano na szpik do szpikowania hakownic; na oliwę do napuszczania zbroi.“ Obowiązek ten czyszczenia broni spadał na młodszych braci cechowych.

W r. 1625 uchwalono, „żeby młodsi pancerze wycierali swym kosztem, a starsi w nich chodzili.“ W roku zaś następnym (1626) na zebraniu cechowem orzeczono: „aby młodsi szanowali armaty. Któryby co popsował z igraszki, jak to czynić zwykli, zaraz niechaj da naprawić. A niechaj jeden będzie dozorcą, który będzie oddawał i odbierał armatę. A ten, któremu to poruczą, jeżeliby niedbale swój urząd sprawował, ma bydź karany, bo niepotrzebnie nakładamy. Takowi młodsi aby nie strzelali niepotrzebnie.“ Wybierano też zawsze dwóch młodszych ku temu: jednego do hakownic, drugiego do przybierania i rozbierania zbroi.

Pomimo tych obostrzeń niebardzo doglądano zbroi, mianowicie w czasach spokojnych, zaco oczywiście kara odpowiednia wymierzaną była. Dnia 8. lipca 1629 r. zapadł na Bartosza Grybowskiego i Matyasza Mikołajczyka następujący wyrok starszyzny cechu kuśnierskiego: „Ponieważ wymienieni bracia z wielkiego niedbałstwa wieży dwiema kłódkami nie zamykali, i owszem lada kiedy na też wieżą chodzili — pono gołębie zbierając — przeto nakazujemy im, ażeby do dwu niedziel, pod winą pańską 10 grzywien, miecz takowy, jaki zginął, do cechu oddali, także prochu funtów 26.“

Oprócz cechowej, posiadało miasto jeszcze zbroję ratuszną dla obrony miasta i Rzpltej, składającą się z wielkiego działa, kilku działek mniejszych, śmigownic, hakownic, muszkietów i kilku par organków, żelaznymi pasami pościąganych. Działa stały na łożach i kołach, a w czasie pospolitego ruszenia wieziono je nieraz i na Ukrainę.

W r. 1626 osadzano tę miejską zbroję, t. j. dorabiano do niej łoża i koła, a było oprócz hakownic i organków także jedno działo wielkiego kalibru i troje działek mniejszych. Jerzy Tymowski, ku-

piec i lunar ówczesny, trudnił się tem, doglądając roboty kołodzieja względem kół, do których osobny świder sporządzić musiano; stelmacha, co wycinał osie i przyprawiał łoża do dział; kowala przy okowaniu dział, oraz szychtarza [1]), który je osadzał. Lunar sam dostarczał węgli, których kosz płacił po 2 złp. i kilka groszy; żelaza po 3 grosze funt, a wkońcu smoły i lubryki [2]) — snadź łoża malowano na czerwono, a okucie napuszczano na czarno.

Burmistrz Jan Łykawski wpisał to wszystko do księgi wydatków nadzwyczajnych miejskich:

— Za świder do wywiercenia kół pod działo i od wywiercenia ich dałem kołodziejowi 21 gr.

— Za dwa kosze węgla do okowania tegoż działa 4 złp. 4 gr.

— Za sztab żelaza, w którym funtów 30, na okowanie tegoż działa 2 złp. 15 gr.

— Za trzy ćwierci i 6 funtów żelaza na okowanie tegoż działa 8 złp.

— Stalmachowi od przyprawienia łoża do działa 8 złp.

— Za 25 szyn żelaznych na okowanie tegoż działa, każda szyna po 8 gr. = 6 złp. 20 gr.

— Kowalowi od okowania tego działa 20 złp.

— Za kosz węgla do osadzenia trzech działek 2 złp. 12 gr.

— Za cetnar żelaza do okowania tych działek 10 złp.

— Woźnicy, który odwiózł te działka i forsztów 6 do szychterza, na piwo 10 gr.

— Stalmachowi za 3 osi pod te działka 24 gr.

— Kołodziejowi za 2 pary kół pod działka 2 złp. 20 gr.

— Szychterzowi od osadzenia tych działek 14 złp.

— Kowalowi za 2 szyny do tych działek 16 gr.

— Za smołę i za lubrykę do tych działek 6 gr.

— Kowalowi od okowania tych 3 działek 24 złp.

Za te wszystkie roboty wypłacono ogółem 104 złp. 28 gr. [3]).

Zbroję ratuszną chędożono i naprawiano również od czasu do czasu według potrzeby. Tak n. p. w r. 1616 za 2 pary kół pod organki i od oprawy ich dano kowalowi 24 gr.; w r. 1626 za szpik dla wychędożenia organków, hakownic i działek 24 gr.; w r. 1644 od wychędożenia dział i organek 20 gr.; w r. 1648 stelmachowi, co

[1]) Szychtarz, syftarz, sychtarz, od niem. Schaft, wyrabiał łoża czyli osady do broni palnej, tudzież wszelką przynależytość do niej.

[2]) Lubryka albo rubryka, z łać. ruber — ciesielska glinka, substancya z ziemi czerwonej.

[3]) Distributa extraordinaria an. 1626 f. 91.

robił 3 kary pod śmigownice, a do czwartej doprawił dyszel i poręcza, dano 4 złp., kowalowi, co robił ref [1]) 24 na koła pod strzelbę, 2 złp. 12 gr.; w r. 1655 za 3 szyny żelaza do łoża działa wielkiego 1 złp. 6 gr.

Proch tłukł puszkarz w puszkarni miejskiej, zbudowanej w r. 1623 [2]), lecz częściej kupowano go i trzymano w beczkach, a regimentarz miejski przesypywał go od czasu do czasu. Saletry dostarczali saletrnicy okoliczni. Najwięcej wyrabiano jej w Grybowie i okolicznych wsiach, jak w Białej wyżnej i Siołkowej, gdzie wielka jej obfitość w skałach łupkowych iłowatych. Najsłynniejsi saletrnicy (1620—1630) otrzymywali zadatki i obowiązywali się dostarczać do 3 tygodni „lutrowanej dobrej saletry“ po kilka kamieni, po półcetnara, aż do 5 cetnarów naraz. W r. 1620 cena saletry była: 15 złp. za cetnar, a w r. 1626 już 35 złp. Kupiec Jerzy Tymowski tym saletrnikom grybowskim nie zawsze płacił pieniędzmi, ale i słoniną, masłem, suknem [3]).

Prócz Grybowa także i w Łącku wyrabiano saletrę. Bieczanie mieli swą miejską saletrnię i prochownię, i miejskich saletrników. Wyrabiali saletrę z popiołu, którego korzec płacono po 18 gr. Warzono ją w umyślnych na to piecach i przecedzano przez płótno do rozmaitych naczyń, mianowicie w koryta. Od wyrobu jednego kamienia saletry w r. 1649 płacono tam $1\frac{1}{2}$ złp., a od wytłuczenia kamienia prochu w miejskiej dębowej stępie 2 złp.; od prochu do dział płacono 15 gr. od funta.

Kule do hakownic i muszkietów odlewali bracia cechowi w osobnych formach, a czasami sprowadzano je skądinąd. Tak n. p. w księdze cechu bednarskiego zanotowano pod dniem 10. lipca 1670 r.: „Za kule do hakownic, których w liczbie było półtrzeci kopy, dał pan Stanisław Rożański 1 złp. 15 gr.“ Kule żelazne trzymano w faskach, a od czasu do czasu także przesuszano, aby nie rdzewiały. Knoty do podpału hakownic kręcili powroźnicy z lnianków [4]).

---

[1]) Refa, ryfa, rechwa — obręcz.

[2]) O budowie puszkarni przechowały się szczegółowe zapiski w księdze wydatków 1623 r. Pod r. zaś 1635 zanotowano: „Za obręcz do puszkarni na wał i czop, kiedy daliśmy prochy robić, 1 złp. 18 gr.“ Niestety nigdzie nie ma wzmianki, gdzie stała owa puszkarnia.

[3]) Dyaryusz kupiecki Jerzego Tymowskiego, o którym bliżej w rozd. VII. i VIII.

[4]) Pod rokiem 1644 zanotowano: „Za lnianki na knoty do strzelby 1 złp. — powroźnikowi od robienia tych knotów 18 gr.“

W celu wprawiania mieszczan do broni odbywano ćwiczenia, czyli „okazowania zbrojne“ (monstry). Odbywały się cztery razy do roku, zawsze podczas jarmarków: na św. Wojciech, św. Małgorzatę, św. Stanisław i św. Marcin — a to dla okazania gotowości w obronie miasta, przeciw wszelkim nieprzyjaciołom i napastnikom. Nie była to ostrożność zbyteczna, kiedy zbójcy podgórscy jarmarki napadali, a niesworni żołnierze i swawolna szlachta zjechawszy do miasta, zwyczajnie „stroili huczki“ [1]) i dopuszczali się rozmaitych wybryków i nadużyć.

Zapraszano wtedy do regimentowania świadomego wojenki mieszczanina, lecz najczęściej szlachcica podupadłego, osiadłego w mieście, a najbardziej radzi byli mieszczanie iść pod rozkazy jakiego porucznika lub rotmistrza, jeżeli właśnie przebywał lub przejeżdżał, a dał się uprosić. Wdzięczne miasto Jego Królewskiej Mości nie przepomniało też ugościć panów wojskowych, zapisując to do księgi wydatków. I tak w r. 1644 wpisano: „Przed wyjazdem chorągwi dragańskiej z miasta, rotmistrzowi i oficerom, którzy przy monstrze generalnej miejskiej byli, dało się kontentacyi 3 garnce wina za 6 złp.“ W czerwcu 1651 r.: „Dla pana Krzesza regimentarza na okazyi, za półgarnca wina 1 złp. 6 gr.“ [2]). Zwykle zaś stoi tam: „Regimentarzowi piechoty miejskiej“ albo „rotmistrzowi piechotnemu podczas jarmarku i monstry miejskiej: 1 złp.“, albo nawet tylko 12 gr. — według tego, jak i kto regimentował.

Obok regimentarza głównemi osobami podczas okazowania byli: dobosz i chorąży, o których też często są wzmianki w wydatkach. Tak n. p. w r. 1651: „Doboszowi, co był na okazyi, 6 gr.“; innym znów razem notowano: „Chorążemu miejskiemu i doboszowi podczas generalnej monstry na gorzałkę 10 gr.“ albo „porucznikowi i bębeniście miejskiemu podczas monstry jarmarcznej 24 gr.“ Czasami, jeżeli się zdarzyło, że dragonia stała w mieście, wzywano dobosza dragońskiego, jak w r. 1644, gdzie zapisano: „Doboszowi dragańskiemu podczas monstry miejskiej, także trwog węgierskich [3]), za pracę 1 złp. 3 gr.“ W okazowanie strzelano do tarczy.

Chorągiew miejska wielka powiewała nad całem uzbrojonem mieszczaństwem, lecz dla monstry oddzielne hufce nosiły oddzielne chorągwie, których proporce [4]) do drzewek ćwiekami na trokach [5]) przybite były, a górą szczyty miały rzeźbione.

---

[1]) Huczek — radosny albo swawolny okrzyk.

[2]) Distributa f. 113, 138.

[3]) Morowe powietrze grasujące na Węgrzech.

[4]) Proporzec — chorągiew, sztandar.

[5]) Troki — rzemienie.

Bęben piechotny drewniany, malowany, częstemu ulegał zepsuciu. Skóra, mimo częstego smarowania jej żółtkami i gorzałką, pękała pod silnem uderzeniem doboszów miejskich, a starszy cechu szewskiego dostarczał nowej. Za czasów Jana Kazimierza sędziwy Jan Cyrus niejednego złotego wziął za nową skórę do bębna, którą obszywał rymarz, a czasami sam miejski dobosz.

Psuł się zaś bęben piechotny, bo oprócz okazowań głównych bębniono weń przy wszystkich większych procesyach: na Wielkanoc, Zielone Świątki, Boże Ciało, św. Małgorzatę, gdyż przy każdej występywało mieszczaństwo zbrojno pod swym regimentarzem. Rotmistrz miejski z doboszem za każdem wystąpieniem w usłudze uroczystości kościelnej otrzymywali kontentacyę, i to czasem hojniejszą, niżeli na monstrze wojennej, boć nabożne mieszczaństwo wierzyło, iż Bóg jest panem zastępów, hetmanem hetmanów, iż ludzie strzelają a Bóg kule nosi!

Na monstrę wojenną i ćwiczenia przychodzili nie tylko mieszczanie, ale w groźnych czasach wojennych także i chłopi, poddani wsi miejskich, biorąc w nich udział czynny. Miasto rade im było i raczyło piwem. Tak n. p. w r. 1655 zanotowano: „Panom mieszczanom, którzy na monstrę wychodzili, według dawnego zwyczaju na achtel piwa 4 złp. 10 gr.; chłopom, którzy na monstrę przyszli z innych wsi, na achtel piwa 4 złp. 10 gr.; dla panów kolegów, gdy z monstry przyszli, za 2 garnce wina 3 złp. 6 gr.; dla regimentarzów, którzy byli na monstrze, za ½ garnca wina 24 gr.“ [1]). Podobny zapisek znajduję pod rokiem 1656: „Za 3 achtele piwa na jeneralną monstrę: jeden dla panów mieszczan, drugi dla przedmieszczan, a trzeci dla wsianów *(sic)*, aby *accedente aliquo casu* ochotniej szli do murów i obrony, 12 złp.: dla panów kolegów, ktorzy na tejże monstrze prezydowali, za 3 garnce wina 6 złp.; dla dwóch regimentarzów półgarnca wina 1 złp.; na piwo dla różnych osób znaczniejszych, którzy byli *praesentes* przy tejże monstrze, 18 gr.“ [2]).

Co rok, zwykle w maju, posyłało miasto pachołka zbrojnego w pancerzu na okazowanie wojewódzkie pod Kraków, płacąc mu za podróż 10—12 złp. I tak znajduję w aktach, że za czasów Zygmunta III. pan Tomasz Pytlikowicz, zwany pospolicie Tomusiem, długoletni rajca (1619—1636), lubiany i szanowany powszechnie majster krawiecki, używany był wielekrotnie do tej honorowej po-

[1]) Distributa f. 201.
[2]) Distributa f. 219.

sługi. Był to kontyngens miasta na pospolite ruszenie, na które prócz tego dostarczało miasto skarbowych wozów.

Po pierwszym rozbiorze Polski i przyłączeniu t. z. Galicyi do Austryi w r. 1772, mury forteczne Nowego Sącza okazały się już bezużytecznymi, a będąc znacznie nadwerężone, same coraz bardziej upadać zaczynały. To też zgorszony tem pan Ignacy Spatschek, c. k. inżynier cyrkularny, w swej relacyi urzędowej z 29. grudnia 1786 r. z oburzeniem powiada: „To miasto było dawniej opasane murami, które jednak od strony rzeki Dunajca na zachód całkowicie zapadłe, a wogóle bardzo są uszkodzone i upadkiem grożące. Tutejszym mieszczanom na mocy przywilejów nadano tyle gruntów i wsi na utrzymanie murów, z tych jednak dochodów widocznie nawet najmniejszej cząstki nie obracano na nie“ [1]). W innej znów relacyi tak się wyraża: „To miasto było murami otoczone, które częścią przez wojny szwedzkie zniszczone zostały, z resztek zaś wysoko jeszcze sterczących murów, ponieważ groziły niebezpieczeństwem zawalenia się, zezwolono mieszczanom budować domy.“

Powyższa relacya pana Spatschka piętnuje gnuśność i niedbalstwo mieszczan sandeckich, którzy swym obronnym murom samochcąc dozwolili upaść. Zdaje mi się jednak, że nie samych mieszczan wyłączna wtem wina, lecz przedewszystkiem ogólnego rozprężenia w narodzie, częstych stacyi i poborów wojskowych w epoce Sasów, różnych klęsk elementarnych, wogóle opłakanych finansowych stosunków, które w XVIII. wieku przygnębiały i ruinowały powszechnie miasta polskie.

W czasie drugiego rozbioru Polski w roku 1795 rozebrano po większej części dawne mury forteczne razem z trzema bramami: krakowską, młyńską i węgierską. Resztki sterczących murów i baszt zniesiono i z ziemią zrównano po roku 1804. W roku 1824 stała jeszcze na skręcie starego żydowskiego okopiska, tuż obok dzisiejszego gościńca tarnowskiego, do połowy zburzona i zruinowana półokrągła baszta garncarska. Obecnie z dawnej warowni miejskiej po-

[1]) Diese Stadt war vor alten mit Mauern umgeben, die aber an der Seite des Dunajec Flusses gegen Untergang gänzlich eingefallen, überhaupt aber gar sehr beschädigt und baufällig sind. Denen Bürgern sind Kraft Privilegii so viele Gründe und Dörfer bloss zur Unterhaltung dieser Mauern zugegeben worden, von welchen Einkünften abe sichbarlich nicht das mündeste hierauf verwendet worden. (Inventarium oder Hauptverzeichniss aller hier kreissigen so wohl zur Emporhebung geeignet. als nicht gecigneten Städten und Märkten, nebst ihren Bemerkungen vom 29. December 1786).

został dotąd, ale tylko w cząstce, głęboki i szeroki rów, który w każdej chwili można było dawniej zawodnić i tak połączyć rzeki Dunajec z Kamienicą, owe naturalne linie obronne grodu. Prócz tego utrzymały się trzy potężne ściany z dawnych fortecznych murów: jedna za dzisiejszem więzieniem od strony Dunajca; druga w ogrodzie plebańskim od strony Kamienicy; trzecia niedaleko od poprzedniej w ogrodzie jezuickim; wreszcie baszta kowalska [1]) tuż przy zamku, z strzelnicą o 9 otworach armatnich, stojąca jeszcze mocno mimo tylu burz i wichrów, które przeszumiały nad nią — jako posępny świadek niegdyś świetnego, dziś upadłego podkarpackiego grodu. Badacz zaś i miłośnik przeszłości słusznie z poetą powtórzyć może:

Nie miej nadzieje w baszciech murowanych,
Ni w twoich wałach tak miąszo sypanych;
Co ręka zrobi, druga skazić może,
Jeśli nas Twoja moc nie wesprze Boże!

(Z pisma 1577 r.)

ANNEXA.

Wydatki na naprawę warowni miejskiej.

1618 r. — Cieślom od oprawienia wieży przy młyńskiej bronie, która się była zajęła od ognia, kiedy gorzała młyńska ulica, 1 złp.; kotlarzowi od wyrychtowania bani na tęż wieżę 10 gr; malarzowi od pomalowania bani i powiewnika na bronę młyńską 12 gr.; mularzowi od poprawy dachówką wieży zgorzałej u młyńskiej brony i oprawienia dwu baszt krawieckiej i tkackiej 2 złp. 15 gr.

1619 r. — Mularzowi Ruffowi od stęplowania wieży kramarskiej 10 gr.; mularzowi Sebastyanowi, co począł murować filar pod wieżą okrągłą kramarską, za dzień i na gorzałkę 13 gr.

1620 r. — Mularzowi od robienia baszty na szpitalskiej ulicy między murami 3 złp.; kamiennikowi od 20 sztuk kamienia na narożniki do tejże baszty 2 złp.; za 3 wozy wapna 4 złp.; mularzowi od

[1]) Owa baszta domaga się koniecznej naprawy. Rada miejska 8 listop. 1881 i ponownie 23. lut. 1884 uznała potrzebę ochronienia starożytnej baszty przy zamku starościńskim przez odpowiednią renowacyę, naco plan i kosztorys miał być wypracowany. Dotąd jednak ów zamiar nie przyszedł do skutku. (!)

roboty tej baszty 3 złp.; murarzowi, co robił koło baszty bednarskiej i koło strażnicy w węgierskiej bronie 25 gr.; cieśli, co robił koło baszt na Biskupiem, za 2 dni 10 gr.

1622 r. — Zmówili panowie z mularzem wymurowanie baszty u młyńskiej brony i sztukę muru, od której zmówili za 82 złp., dali mu ad rationem tej roboty 8 złp. 10 gr.; mularzowi, co robił koło baszty rozwalonej, dało się 6 złp.; mularzowi, co basztę murował, 10 złp.

1623 r. — Od murowania baszty za ulicą młyńską i dwu sztuk muru obalonego, według zjednania z mularzami za 52 złp., daliśmy ad rationem takiego zjednania mularzowi z Podolińca 26 złp.

1626 r. — Mularzowi od oprawy murów miejskich, co oprawił sztukę muru za Pawłem złotnikiem i kratę wprawił w mur za kościołem św. Ducha, 3 złp.; kowalowi, za kopę bretnali i za klamrę do baszty u brony węgierskiej, 1 złp.; za kłódkę wielką do brony węgierskiej 3 złp.; cieśli od oprawy baszty u brony węgierskiej, za 25 kóp gontów, także i za 50 sztuk drzewa na potrzebę miejską 18 złp. 13 gr.

1629 r. — Mularzowi, co robił koło baszty młyńskiej i krawieckiej, dało się 11 złp.

1630 r. — Mularzowi, który robił koło muru od baszty kowalskiej do brony krakowskiej, dało się 4 złp.; mularzowi od poprawienia murów i filara od brony krakowskiej, dało się 6 złp.

1634 r. — Mularzowi od oprawy murów miejskich nad Dunajcem koło furtki 20 złp.; za wapno do oprawy tychże murów 13 złp.

1635 r. — Mularzowi, co robił koło muru na szpitalskiej ulicy, 130 złp.; temuż mularzowi, co robił gdzieindziej koło muru, 30 złp.; za wapno do Kruźlowej 30 złp.; za wapno do Grybowa, co Piątkowianie zwozili, 76 złp.; kowalowi za gwoździe do krakowskiej brony z okrągłemi głowami nr. 31 po półtoraku = 1 złp. 15 gr.

1636 r. — Na cetnar żelaza na poprawę w bronie węgierskiej 8 złp. 15 gr.; za kłódki do krakowskiej brony dałem ślusarzowi 1 złp. 10 gr.

1638 r. — Pan Jan Koszwic, kollega i lunar nasz, produkował regestr wydatków na wystawienie muru nie małej wielkości, i zaś znowu na podmurowanie na drugiem miejscu także sztuki nie małej. Na który wydatek, mianowicie na rzemieślnika, wapno, drzewo, tarcice i robotniki, odebrał z rąk Stan. Wilkowskiego burmistrza in praesentia wszystkich kollegów, za słusznym rachunkiem przed nami uczynionym dostatecznie, 343 złp. 20 gr., które expensował.

1640 r. — Na 3 piece wapna do robienia baszty 21 złp.; za wapno do baszty obalonej 49 złp. 10 gr.; mularzowi od roboty 40 złp.;

za rzezanie dębowych forsztów w traczu na spust do węgierskiej bramy 1 złp.

1641 r. — Na basztę kramarską za 5 blach, ćwieków 3 kopy, 18 funtów minii (farby czerwonej) po 6 gr., 6½ garnca oleju, 7 złp. 2 gr.: za 4000 gontowych gwoździ ze Spiża na pokrycie baszt miejskich 6 złp. 20 gr.

1642 r. — Sprowadzono na pokrycie murów miejskich: 394 kóp gontów, 94 kóp gwoździ i 142 sztuk drzewa, za 190 złp. 20 gr.

1646 r. — Garncarzowi na 100 dachówek na basztę nad młyńską bromą zadałem 15 gr.: panu Andryszowi za gwoździe na basztę węgierską i za szyny na miejską potrzebę dałem 5 złp.

1648 r. — Cieśli, który budował rusztowanie na dwóch basztach dla armaty, 1 złp.; mularzowi, który robił koło muru miejskiego od Dunajca przez 3 dni, 1 złp. 15 gr.; cieślom od naprawienia wiązania do strzelby w baszcie rzeźniczej 1 złp.; tamże kowalowi za zawiasy i wrzeciądze do drzwi i bretnale 1 złp. 12 gr.: za kłódkę do bramy krakowskiej 1 złp.: kowalowi, co robił skoblów 11 do zwodu do węgierskiej brony, 1 złp. 14 gr.

1653 r. — Mularzowi, który mur i basztę za Pawłem złotnikiem podmurował, 28 złp.

1656 r. — Cieśli, który robił wiązanie na dwóch basztach do strzelby, t. j. na kuśnierskiej i rzeźniczej, 1 złp.

1657 r. — Mularzowi, co wybił dziurę na baszcie kramarskiej, 24 gr.: mularzowi, co na baszcie węgierskiej mur przekopał i okien dwóch na organki poprawił, 15 gr.: cieślom, którzy koło baszty pustej robili, dałem 1 złp. 10 gr.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

ZARYS POJĘĆ O NARODZIE.

Część druga.

ROZDZIAŁ I.

Wpływ literatury nowszych czasów na rozwój świadomości narodowej plemion europejskich.

Pod wpływem pojęć o swobodzie indywidualnej i społecznej, wypielęgnowanych początkowo na gruncie angielskim a ztamtąd przeszczepionych przez Francuzów na kontynent europejski i za ich przewodem rozszerzonych na wszystkie, istotne a nie pozorne, ogniska cywilizacyjne obu półkuli świata, — kiełkowała, krzewiła się, zakwitała i niosła owoce idea narodowościowa, poszukując praw do wolnego umysłowego i społecznego rozwoju oddzielnych plemion, obdarzonych poczuciem swego własnego jestestwa. Lecz także i inne kulturalne czynniki, acz drogą zupełnie odmienną i z wręcz przeciwnych powodów wytkniętą, zmierzały do rozjaśnienia, wzmożenia i uwidocznienia konieczności tejże samej idei, dając przez to dowód jej głębokiej prawdy, żywotności i siły. Cóż bowiem więcej może świadczyć o potędze danej idei, jeżeli nie to właśnie, że zajmuje ona takie środkowe stanowisko, do którego się dochodzi z zupełnie różnych kierunków, że jest ona łącznikiem pojęć, wychodzących z zasad sobie na pozór wrogich i nieprzyjaznych, że jednoczy ona elementy skrajne, hasła przeciwnych stronnictw, dążności na pierwszy rzut oka wzajemnie się znoszące, jak liberalizm z jednej a konserwatyzm z drugiej strony.

Istotnie też zamierzając w rozdziale obecnym badać wpływ innego duchowego czynnika na rozwój pojęć narodowościowych, a mianowicie wpływ literatury, musimy na samym wstępie zaznaczyć, iż ujawnia ona prąd, powstały z przyczyn dyametralnie przeci-

wnych prądowi pojęć politycznych. Jeżeli prąd polityczny ogólnie poczytywano za francuzki, jako najprzemożniej i najwybitniej pochwycony przez umysły encyklopedystów francuzkich oraz ze względu na widownię praktycznego urzeczywistnienia tego prądu, a mianowicie na wielką rewolucyę w epoce schyłku XVIII. wieku, — to natomiast prąd literatury był z gruntu i z istoty rzeczy antifrancuzkim, był opozycyą przeciwko pojęciom, narzuconym światu przez Francyę, był buntem przeciwko regułom i konwenansom, które ustanowiła w dziedzinie twórczości literackiej, był walką z przesądami, unicestwiającymi ducha na rzecz przyjętej i zatwierdzonej zwyczajem formy.

Aby to uprzytomnić, przypomnijmy sobie, że od połowy XVII. wieku wpływy francuzkie zaczęły ogarniać cały kontynent Europy. Jak już powiedzieliśmy na innem miejscu naszej pracy, świetność dworu wersalskiego, w tym właśnie czasie wchodząca w okres pełni, służyła za punkt atrakcyi i wzoru dla wszystkich innych monarchów. Obyczaje, mody, gusta i ubiory ztamtąd brane były przez ogół świata wyższego. Co pochodziło z Francyi, znamionowało ogładę i wykwintność, a język francuzki stał się mową dworów i arystokracyi, rugując w zupełności dotychczasowe, pochodzące z epoki humanizmu i odrodzenia używanie języka włoskiego. W wieku XVIII. znowu angielskie idee swobody, szerzone we Francyi przez tamecznych filozofów, a jednocześnie bujny w niej rozrost nauk przyrodzonych i ścisłych budził w Europie jeszcze większy popęd do uczenia się języka francuzkiego. Znajomość jego stawała się konieczną wtedy nietylko dla kół dworskich i wyższej szlachty, lecz dla całego wykształconego ogółu. Nie miał naówczas prawa do nazwy uczonego ten, dla którego byłyby nieprzystępne dzieła myślicieli francuzkich ówczesnej epoki, a ztąd język francuzki był kluczem do przybytku nauki dla wszystkich tych zarazem, którzy w mniejszym lub większym stopniu łaknęli wiedzy, chwytając chciwie wiadomości o gorączkowo zaprzątającem umysły w owym czasie śledzeniu praw natury i praw bytu społeczeństw. Czytanie Diderota, Woltera, Rousseau lub Montesquieu'go w oryginale było potrzebą każdego myślącego człowieka, a dykcyonarz Bayle'a stawał się nieledwie nieodzownym podręcznikiem dla osób, pragnących być świadomemi rozstrzygnięcia danej kwestyi w duchu panującego prądu filozoficznego. Przez to wpływ francuzki ogarniał zarazem wszędzie szerokie koła średnich warstw społecznych, wnosząc w nie wraz z potrzebą języka i pojęcia, wyrosłe na gruncie francuzkim. Do pojęć tych wprawdzie należały w wielu razach pojęcia krzywe i spaczone. Takim był ówczesny

ateizm n. p., oparty na szyderstwie i naigrawaniu się z czynników, wniesionych w życie społeczne przez religię, w którym dowcip walczył o lepsze z erudycyą z wielu względów niezmiernie powierzchowną. Taką była między innemi filozofia uzmysłowienia życia, rozwinięta przez Helwecyusza, a ostatecznym wynikiem której mogło być tylko odrzucenie wszelkich praw etyki i zaprzeczenie jej potrzeby, zarówno jak i zrzeczenie się wszelkiego postępu w rozwoju i pielęgnowaniu uczuć moralnych.

Do ujemnych stron oświaty francuzkiej należała i ta niezmiernej wagi okoliczność, że duch i tło owoczesnej literatury pięknej doprowadzone zostały przez Francyę do stopnia bezbarwnego naśladownictwa czasów odległych, nie mających bezpośredniego związku z epoką danej chwili i jej potrzebami. To albowiem, co odrodziło myśl we Włoszech za czasów humanizmu i pchnęło ją na świetne tory w literaturze, przeszczepione na grunt francuzki, przedzierzgnęło się w konwencyonalizm form i deklamacyi, streszczający się we wszechwładnym podówczas pseudoklasycyzmie. Za jego to wpływem utrwaliło się przekonanie, że tematy szczytne, bohaterskie, a więc tematy, nadające się do poezyi i literatury pięknej, winny być czerpane ze świata starożytnego, a w szczególności z dwóch uprzywilejowanych w dziejach składników cywilizacyjnych tegoż świata: Grecyi i Rzymu. Tym sposobem zapanował na wszystkich polach twórczości poetyckiej uświęcony zwyczajem przymus, krępujący swobodę i polot myśli i wtłaczający ją w ramy muru na sposób chiński zakreślonego, — zużycie zaś tematów, czerpanych wciąż w tragedyi z jednego i tego samego źródła, przesada i brak wszelkiej prawdy w sielankach, snutych na tle życia arkadyjskiego, jałowość i rozwlekłość poezyi opisowej czyli dydaktycznej, — wszystko to razem wzięte sprawiało przesyt i znużenie, wywołując potrzebę oporu przeciwko spowszedniałości literackiego twórczego kierunku, snującego się wciąż utartemi ścieżkami raz na zawsze przyjętych prawideł i reguł.

Protest przeciwko ciasnej atmosferze pojęć konwenansowych ujawnił się niebawem we wszystkich krajach Europy w formie zbyt widocznej reakcyi, poszukującej innych pierwiastków, bliższych i więcej odpowiednich uczuciom społecznego ogółu. Reakcyę tę dość powszechnie podciągają badacze dziejów literatury pod zjawiska walki romantyków z klasykami, uważając zwrot ów w literaturze za jedno z wykwitem nowej szkoły, zwanej romantyczną. Gdy jednak właściwa szkoła romantyczna nowszych czasów ujawniła pewne tylko wybitnie ją charakteryzujące cechy, gdy powszechnie uznawane w niej

są pewne tylko odcienia fantazyi poetyckiej (legendarność i nadprzyrodzoność — świat podań rycerskich i świat guseł i czarów), gdy przytem za przedstawicieli jej poczytywany jest zwykle dość zresztą nieliczny zastęp poetów o nastroju mocno ich odróżniającym od reszty, gdy sama owa szkoła, pomimo nawet świetnych nazwisk, które się w niej nie w jednym kraju zaznaczyły (jak n. p. Mickiewicz w Polsce w pierwszych próbach swej twórczości), przetrwała czas krótki i była znamieniem, rzec można, jednej zaledwie chwili dziejowej, — słuszniej przeto upatrywać w niej należy wyłącznie jeden tylko z wielu, jakkolwiek w istocie swej niezmiernie doniosły objaw reakcyi przeciwko formom pseudoklasycyzmu, które pchnęły literacką twórczość na nowe i nieznane przedtem drogi. Gdybyśmy nadawali zbyt szerokie znaczenie romantyzmowi, naówczas musielibyśmy się zgodzić na przytaczane niekiedy zdanie, iż „Szekspir był pierwszym romantykiem", to jest odnieść początek kierunku romantycznego do epoki, w której nie mogło być mowy o jakiejkolwiek walce klasyków z romantykami Zkądinąd nazwa romantyzmu, wniesiona do dziejów, wywoływała za sobą rozmaite poglądy, skutkiem czego nadawano mu i nadaje się dotąd w różnych sferach i krajach znaczenie odmienne, podczas bowiem, gdy jedni widzą w nim przeważnie zwrot ku swojskości i podaniom rodzinnym [1]), inni, jak na przykład niemieccy protestanccy pisarze, upatrywali w nim widmo wstecznych, podług nich, pojęć zwrotu ku katolicyzmowi i poczytywanemu przez nich prawie za jedno z katolicyzmem, absolutyzmowi. Mniemali oni nawet, że zwrot romantyczny w literaturze nastąpił pod wpływem rządów i sfer rządowych, lękających się o utratę swego wpływu i popierających skutkiem tego rycerskie ideały wieków średnich, które daleko więcej sprzyjać mogły tendencyom monarchicznym, niż nowe polityczne hasła wolności i równości. Ze względu też na pochwycone z upodobaniem przez romantyków śre-

[1]) F. K. (Krupiński) w artykule swym: „Romantyzm i jego skutki" (Ateneum 1877, tom II. str. 121 i 129), reasumując zdania o romantyzmie, rozprószone u teoretyków romantyzmu, dostrzega w rzeczonym kierunku następujące elementy składowe: „uczucia teskne za przeszłością, mistycyzm, oryentalizm, metafizykę religijną lub panteistyczną i gminne podania." — Jeżeli zwrócimy uwagę, że oryentalizm i metafizyka nie stanowią cechy nieodłącznej każdego utworu romantycznego, pozostawałoby uznać za istotne i nieodmienne cechy romantyzmu: tęsknotę za przeszłością i zwrot ku gminnym podaniom, w których tajemniczość i cudowność występuje sama przez się, jako nieunikniony atrybut fantazyi ludowej, czyli ostatecznie zwrot ku swojskości, ku pierwiastkom rodzinnym, narodowym.

dniowieczne tematy oskarżano ich dość powszechnie o uganianie się za ideałami przeszłych wieków, które ani odpowiadają obecnym potrzebom, ani mogą być stawiane za wzór dzisiejszym pokoleniom, — z powodu zaś wprowadzenia do poezyi fantastycznego pierwiastku widm i upiorów, zaklęć i czarownic pomawiano o rozkiełznaną i gorączkową fantazyę, podniecaną wytworem najniedorzeczniejszych urojeń, a ztąd nazwą romantyzmu zaczęli historycy określać zbaczanie i odbieganie od prawdy życiowej oraz gonienie za złudzeniami lub za marami wyobraźni, wywołanemi przez obłęd w rodzaju walki Don Kichota z wiatrakami. W życiu miano romantyka pozyskiwała zwykle osobistość, której czyny nie zgadzały się z praktycznemi potrzebami chwili i która nie mogła sobie zdać jasno sprawy z celów przez nią powziętych, a ztąd też pomiędzy innemi scharakteryzowano tem mianem monarchę, którego szlachetniejsze i lepsze porywy paraliżowane były po części brakiem woli, po części zaś niezrozumieniem epoki, wśród której żył i jej wymagań [1]).

Tak więc uważając romantyzm, jako jeden z charakterystycznych, nacechowanych mianem szkoły, chwilowych objawów ogólnego prądu w literaturze, zwrócimy uwagę na wszechpotężne cywilizacyjne znamiona owego prądu, w którym myśl ludzka, zrzucając krępujące ją powijaki, znudzona jednostajnością roztaczanych wciąż przed nią obrazów grecko-rzymskiego świata w sztucznem świetle konwenansów, szukała ożywczych pierwiastków w bliższej pokrewnej dziedzinie, przenosząc się z upodobaniem w świat domowych tradycyi, zespolonych z dziejami odrębnych plemion, szczepów i krajów.

W szeregu krajów, w których zwrot ten najpierwiej i najsilniej się uwidocznił, staje znowu przed nami Anglia, owa tradycyjna kolebka swobód politycznych, jak gdyby na stwierdzenie faktu, iż rozwój swobód ogólnych stoi w bezpośrednim związku z rozwojem myśli we wszelkich innych kierunkach. Niemniej na zwrot w kierunku narodowym oddziaływała w Anglii znacząco inna przyczyna, a była nią naturalna, podbudzona niechęcią narodową reakcya przeciwko wszystkiemu, co francuzkie, sięgająca lat niezmiernie dawnych. Wiadomo, że w epoce średniowiecznej Anglia była zagarniętą całkowicie przez wpływ francuzki, którego pozbyć się nie mogła w ciągu trzech stuleci. Od bitwy pod Hastings w r. 1066 zdobywcy Anglii, Normani narzucili jej swój własny język francuzki, uczyniwszy

[1]) Mamy na myśli Fryderyka Wilhelma IV., którego ochrzcił tem mianem Johannes Scherr w świetnem swem dziele, noszącem tytuł: „Vom J. 1846 bis 1851. Eine weltgeschichtliche Tragikomödie."

go wyłącznie uprzywilejowanym w państwie. Był on wtedy językiem urzędowym wszelkich aktów i dokumentów, językiem dworu i rycerstwa, językiem szkół, językiem stosunków towarzyskich klas wyżej stojących. Miejscowe narzecze anglo-saskie musiało mu ustąpić, ograniczywszy swój zakres do najzwyklejszych stosunków życia rodzinnego pod strzechę domową. Panowało ono odtąd w sferze ludowej, po za nią zaś utrzymywało się wśród tych posiadaczy ziemskich, których dobra nie zostały odebrane na rzecz zdobywców normańskich. Stosunki takowe trwały w Anglii dopóty, dopóki żywioł zdobywczy sam w ciągu lat nie zespolił się ściślej z pokonanymi anglosaksonami, ściślejsze zaś zespolenie wywarło swój wpływ na przywrócenie w kraju językowi angielskiemu należnego mu stanowiska bez względu na to, iż dotychczasowy język zdobywców stał bezwarunkowo na wyższym stopniu rozwoju kulturnego. Jakkolwiekbądź palingenezya angielszczyzny odbywała się powoli i stopniowo; zaledwie w r. 1363 za panowania Edwarda III. język francuzki wyrugowanym został z sądownictwa, w charakterze wykładowego usunięty został ze szkół niedługo potem w r. 1385, w parlamencie jednak przetrwał jeszcze wiek cały, gdyż ustąpił ztamtąd dopiero w r. 1483. Tak zwolna i nieledwie krok za krokiem odbywała się tam walka z narzuconą obczyzną, siejąc w sercach miejscowego ogółu żarzewie tem głębszej nienawiści ku obcoplemiennemu szczepowi francuzkiemu, odbijające się i dziś jeszcze po upływie wieków w antagonizmie pojęć, w narodowych uprzedzeniach i w tradycyjnej polityce, w moc której krzyżowanie wzajemne interesów stało się niemal najulubieńszą zasadą dwóch panstw ze sobą rywalizujących. Po owem też powolnem wybiciu się Anglii na niepodległość, zaniechała ona przez czas długi brać jakiekolwiekbądź wzory z Francyi, szukając w sobie samej punktu oparcia do dalszego rozwoju i snując z miejscowych czynników przędzę swej własnej, wybitnie oryginalnej i samodzielnej myśli. Znakomitsi poeci tameczni wieku XIV. i nawet XVI., jak Chaucer (Czoser) lub Spencer (Spenser) są jeszcze pod wpływem włoskich wzorów odrodzenia, lecz już w końcu XVI. stulecia występuje olbrzymi gieniusz — S z e k s p i r i zostawia po sobie całą skarbnicę utworów najpełniejszej co do swego charakteru oryginalności, w których prawda uczuć, znajomość życia i działań ludzkich świecą w całym blasku. Nie istnieją dla niego żadne ramy ciasnych prawideł, żadne przywileje na rzecz żywiołów, wśród których ma się obracać tragizm sceniczny. Czerpie on wątek z rozmaitych epok i społeczeństw, odległych i bliskich; dostarczają mu treści zarówno wypadki z dziejów starożytnych, jakoteż średniowieczne po-

dania z dziejów duńskich lub szkockich, zdarzenia historyczne z dziejów ojczystych oraz wypadki, zaczerpnięte z życia werońskich lub weneckich patrycyuszów; bohaterami zaś jego obok starorzymskich Koryolanów, Juliuszów Cezarów i Antoniuszów lub greckich Peryklesów i Tymonów są zarówno królowie i królewicze, jak niemniej istoty przez europejskie społeczeństwa odpychane: zbliżony swą cerą do rasy czarnej Maur i pogardzany żyd, mszczący się za poniżenie swego szczepu dziką żądzą krajania przeklętego chrześcianina. Jest tam i społeczeństwo średniowieczne w realnej swej postaci historycznej, w całej pełni najprzeróżniejszych typów, począwszy od książąt i wodzów, jest świat rycerzy, uosobionych bynajmniej nie w przyjętej powszechnie podówczas postaci niezłomnych bojowników honoru lub rozegzaltowanych wielbicieli, posłusznych ślepo skinieniom swej damy, jest i świat urojeń tej epoki, — świat duchów nadpowietrznych, świat czarownic, zaklęć i upiorów — owe bujne źródło, z którego potem czerpała obficie treść swoją szkoła poetów romantycznych. Zarazem w formie i toku sztuk dramatycznych niczem nie krępowana swoboda akcyi, przenosząca widza w coraz inną widownię, wbrew odmienna od owej uprzywilejowanej we Francyi, tak w owym, jako też i w następnym czasie klasycznej jedności czasu i jedności miejsca, jakkolwiek zkądinąd odmienność tych nowych torów sztuki nie może być przypisywaną wyłącznie samemu Szekspirowi, lecz i innym współczesnym dramaturgom, a w szczególności hiszpańskim (Lope de Vega). Nic przeto dziwnego, że w przeciągu długiego czasu sztuki Szekspira, rewolucyjnością co do formy i treści, budziły prawdziwą zgrozę w lubownikach ścisłych reguł, jakiemi otoczono we Francyi twórczość dramatyczną w wewnętrznym i zewnętrznym jej zakresie. Wszystko to atoli, o czem wspomnieliśmy, nie przedstawia dla celów naszej pracy tak ważnego znaczenia, jakie ma w szczególności pewna pojedyncza strona genialności Szekspira. Jest nią mianowicie zwrot ku przeszłości historycznej swego własnego kraju w całym szeregu wspaniałych dramatów dziejowych, jakimi są Henrykowie i Ryszardowie. Tu potęga wielkiego dramaturga, poruszając serca swego narodu obrazami walk przeszłych domowych pokoleń, dała zarazem wszystkim innym narodom świetny wzór pielęgnowania najbliższej domowej tradycyi, badania dziejów swych przodków i idącego w ślad za tem zamiłowania własnego kraju z tem wszystkiem, co stanowi jego wybitną odrębność od innych, a więc zwyczajów, prawa, religii, jako czynników miejscowego uspołecznienia, obejmujących w sobie wraz z językiem cało-

kształt narodowości, czyli narodowych uczuć i wierzeń społeczeństwa, kraj zamieszkującego.

Potrzeba było jednak długiego czasu, aby genialność Szekspira zrozumianą została przez świat literacki innych krajów. Upłynął wiek cały, zanim w Niemczech przełożono i rozpowszechniono jego utwory, a od tej mianowicie epoki — od ukazania się dzieł Szekspira w obcej szacie, zmienia się stopniowo kierunek literatury europejskiej. Rozpoczyna się w poezyi zwrot narodowy, który się uwydatnia nie wszędzie wprawdzie i zawsze, lecz przynajmniej w utworach najznakomitszych wieszczów. Nie mamy miejsca śledzić w swej pracy wszystkie drobiazgowe znamiona nowego ruchu, z konieczności więc ograniczyć się musimy na najdonioślejszych faktach i postaciach. Do tych przeto zjawisk należą w XVIII. wieku dwaj potężni poeci niemieccy — Szyller i Goethe.

(Ciąg dalszy nastąpi).

I. Snitko.

Sprostowanie omyłek, które się wkradły w ostatnich zeszytach „Przewodnika“ z zeszłego roku:

Str.	926	wiersz	2	od dołu	po wyrazie „oddzielnych“ dodać „językowych“
„	927	„	23	od góry	zamiast „przejrzeć się“ czytaj „przyjrzeć się“
„	929	„	15	„	zamiast „ogólnej“ czytaj „wspólnej“
„	932	„	7	„	zamiast „jednostka“ czytaj „jednostką“
„	1025	„	7	od dołu	zamiast „podatkowej“ czytaj „podatków“

PAMIĘTNIK
O STROJU NARODOWYM
W RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

SŁOWO WSTĘPNE.

Wszystko, co nam przypomina odrębny byt polityczny ojczyzny, co było właściwością i znamienną cechą narodową, powinno nam być znane i zarówno szanowane, jak tradycye politycznych dziejów, przekazanych nam przez przodków naszych. — Do tych pamiątek należy i strój narodowy, który więcej, niż w jakimkolwiek narodzie Europy, wyobrażał cechę dążności politycznej we wszystkich momentach troski naszej o niepodległość ojczyzny. Na tem się opiera interes i obowiązek nasz poznania wszystkiego, co w pierwiastkach i rozwoju swoim było prawdziwie narodowem.

Po utracie bytu politycznego, postać kraju szybko się zmieniała pod wpływem cechy ogólno-europejskiej, której ton dawała francuszczyzna. Ostatni — smutnej pamięci — król polski, przykładem swoim i względami, przekształcał już za panowania swego otoczenie tronu. Liczne grono pochlebców i zalotnic wtórowało tej propagandzie gustu — a nawet mniemanego postępu i cywilizacyi — więc już przed upadkiem tronu, na polu tej reformy wiele przygotowano: a gdy korona runęła, wrogie nam rządy rozwinęły swoje srogie a nienawistne dla wszystkiego, co polskie, panowanie, więc trwoga, zobojętnienie i pochlebstwo, działały skrzętnie na zmianę społeczeństwa, kierującego się według przysłowia niedołęgów: „Na czyim wózku jedziesz, tego piosnkę śpiewaj.“

Wyjątkowe tylko były przykłady niepoprawnych, którzy nie zmienili ani sposobu myślenia, ani języka, ani zwyczajów domowych, ani stroju. Dzisiaj, starym chyba już ludziom, pamiętne mogą

być jeszcze typowe postacie z czasów stanisławowskich. Z ich zgonem zatracała się powoli znajomość i pamięć tradycyi prawdziwych wzorów, mianowicie kroju i ustanowy w noszeniu stroju polskiego, które obecnie tylko z autentycznych podań odgrzebywać należy.

Nie chcemy przez to powiedzieć, żeśmy gorsi od naszych niedawnych, a nawet bardzo dawnych przodków. Skłonność do porzucania stroju narodowego szła za przykładem królów i wielmożów; a tylko niezawisły byt polityczny Rzeczypospolitej chronił, że tego nie czynili wszyscy. „Królowie cudzoziemskiego rodu wprowadzani na tron polski, ich małżonki cudzoziemki, nareszcie podróże młodzieży pańskiej do akademij zagranicznych, to były źródła, z których do Polski płynęło skażenie stroju narodowego. Wszystko, co było dworskie, stawało się obok takich królów i królowych obce. Zgraja pochlebców, karyerowiczów, zbliżających się do pańskiej klamki, starała się naśladować światło ztamtąd bijące, przystrajała się podług ich barwy i kroju.“

„Ostatni Jagiellończyk, Zygmunt August, długo chowany po włosku, otoczony kobietami, zniewieściał sam, polubił wstążki i miękkie koronki, porzucił strój przodków swoich; w stroju hiszpańskim początkowo się nosił, a za jego przykładem poszło wielu innych. — Zygmunt trzeci, z urodzenia Szwed, z języka Niemiec, i obie żony jego, Anna i Konstancya Austryaczki, dwór królewski na podobieństwo niemieckiego przetworzyły. Synowi Władysławowi stroju polskiego nosić nie pozwolil, nieposłuszeństwo chłostą zagroził. Za jego też panowania weszły w modę ubiory niemieckie i szwedzkie.“ — (Siarczyński, „Panowanie Zygmunta III“).

G o r e c k i, pisarz XVI. wieku, z różności strojów w Polsce nieszczęście ojczyzny przeglądał. „Dziś u nas, (słowa są jego) — strojów jest tak wiele, iż im liczby nie masz. To po włosku, to po hiszpańsku, po brunświcku, po usarsku, dwojako nowo i staro, po kozacku, po tatarsku, po turecku, a drugie stroje są, których nie znam. Zaprawdę nie wiem ja, ku dobremu li to, czy ku złemu, iż my Polacy nie mamy swego własnego ubioru, acz podobno m u s i a ł b y ć p i e r w e j, ale nam obmierzł, jakośmy się nowinek chwycili. Otóż chociaż nam się okropnie teraz sprośnie widzą, jednak pachną oną przystojną a świętą p o l s k ą s w o b o d ą, k t ó r a b y ł a z e z d r o w i e m R z e c z y p o s p o l i t e j, jak dzisiejsze stroje są świetne zuchwalstwem, rozpustwem, które jest złe, a uchowaj Boże aby nie z przyszłą niewolą polską.“

Michał Wiśniowiecki wprowadził stroje francuskie. Po królu Janie III., który przywrócił powagę stroju polskiego, przyszli Sasi;

wdziewali odzież polską do koronacyi, ale potem jej nie nosili. Za ich czasów weszły w modę fryzury i haftowane fraki. — „Ku końcu panowania Augusta III. ledwie dziesiąta część senatorów i urzędników koronnych została przy polskiej sukni.“ (Kitowicz, t. III. s. 148).

Po Sasach, Stanisław August pielęgnował dalej ustalenie ogłady francuskiej. Przy elekcyi jego trzech tylko panów zachowało strój starodawny; wszyscy, nie wyłączając obranego króla, przebrani byli po francusku. (T. Morawski, „Dzieje“ t. V.).

Bardziej jeszcze, niż mężczyźni, chwytały się strojów obcych kobiety. „Przyjęły one stroje wszystkich krajów Europy, a kaprysami swojemi — jak wiadomo — ile gaszków swoich zbałamucić mogły i zniewolić do ubierania się — *à la mode!*“ (Kitowicz, „Pamiętniki“ t. III.).

Dwa wieki takiego bałamuctwa głębokie wyłomy zdziałać mogły w społeczeństwie. Przodem w tych zmianach szli — jak z reguły wszędzie się dzieje — panowie. Stan średni tylko i lud zachował strój narodowy. Z magnatów tylko Radziwiłł (panie kochanku) nigdy stroju polskiego nie porzucił.

W roku 1801 pisze Dantyszek (A. Czartoryski, ks. generał ziem podolskich) w swoich „Myślach“ o pismach polskich: „Taić nie możemy przed sobą, iż od lat kilkunastu coraz bardziej wyradza się nasz język i że w tej mierze krok trzyma z haniebnem a powszechnem zrzeczeniem się kształtów stroju, zwyczajów narodowych.“

Tak bywało dawniej! — A po rozbiorach kraju, kiedy do zwykłej niewytrzymałości przybyły z jednej strony pochlebstwa dla pozyskania względów nieprzyjaciela, upragnionego tytułu, urzędu; z drugiej strony zakazy i prześladowania wszystkiego, co narodowe: to coraz rzadziej na widowni publicznej pojawiały się egzemplarze starej daty. Gdzieś niegdzieś jaki podstarości, albo rządzca dóbr magnackich, albo jaki szlachetka, posiadacz półtora poddanego, pojawił się na odpuście w kontuszu wyszarzałym, w żupanie kamlotowym lub sukiennym, ale czczonym jak relikwia, aż do złożenia się w trumnie.

Nic też dziwnego, że z powodów takich okoliczności zaginęła powoli tradycya stroju, zaginęły wzory autentyczne kroju i sposobu noszenia stroju narodowego.

Nie wypływa ztąd racya, że do zbawienia ojczyzny jest konieczną sprawą, aby wszystkie stany przyjęły wyłącznie strój narodowy; nikt bowiem nie wątpi, że i we fraku można być dobrym i skute-

cznie działającym Polakiem: jak też przeciwnie i w kontuszu można w danym razie być odstępcą sztandaru narodowego lub nawet zdrajcą: zaprzeczyć jednak nie można, iż w narodzie podbitym zachowanie wspólnych cech tradycyjnych nie jest rzeczą obojętną dla jego przyszłości. Widok narodowego stroju w różnych sferach społeczeństwa — chociażby tylko w pewnych okazyach używanego — wywołuje wyraz czci dla pamiątek ojczystych; przypomina utraconą łączność narodową; jest jakby wyznaniem wiary, iż pod jakimkolwiek rządem zostajemy, jesteśmy i zostać pragniemy narodem niezmiennym, szanującym swoją przeszłość i wiarę w przynależną jemu przyszłość.

Kto więc tę wiarę i usiłowania jej podziela, temu zależeć powinno na tem, aby i strój narodowy znał dokładnie. Jeśli bowiem strój jaki ma być okazem własnego pomysłu, to wolno fantazyi puszczać wodze: bo tam wszystko zależy od własnego upodobania. Jeśli zaś strój ma być znamieniem poszanowania pewnej tradycyi, to powinien stosować się do przekazu tej tradycyi: do niej powinien stosować się miarą, krojem, barwą, sposobem noszenia; inaczej bowiem schodzi na manierę i daje świadectwo nieznajomości rzeczy, której lepiej nie dotykać, aniżeli naśladując, fałszować.

Warstatów krawieckich i szewskich, któreby dziedzicznie, z tradycyami swojemi, przechodziły przez kilka pokoleń, nie mamy. Panowie przemysłowcy nie pytają postaci, wiszących na ścianach jakiej galeryi; nie wertują po księgach, a są za młodzi, aby pamiętali i badali ludzi ze stanisławowskich czasów. — To, co było autentyczne, po największej części zbutwiało już dawno; to, co jest dziś, to powstało sposobem odgadywania, domysłu. Jeśli jaki kronikarz lub nawet pisarz, piszący o ubiorach w Polsce, podaje tylko nazwiska stroju, pisze o żupanach, kontuszach, kapotach, a nie podaje dokładnie ich kroju w taki sposób, żeby go krawiec zrozumiał i potrafił rzecz wykonać, to zamały w takim pisarzu jest materyał do poznania właściwości stroju narodowego. Odtwarzając na domysł rzeczy znane nam tylko z nazwiska lub tylko z jednej strony, odtwarzać będziemy — jak to dzisiaj często się spotyka — tylko dziwolągi.

Piszący te słowa, miał oprócz źródeł książkowych, niejeden autentyczny strój dawny w ręku, a nad to wszystko posiadał w rodzie swoim żywą, wymowną kronikę konfederata barskiego, człowieka krzepkiego zdrowia, dobrej pamięci i posiadającego — jak każdy ówczesny szlachcic — dokładną znajomość ówczesnych zwy-

czajów. Relacye z takiego źródła o szczegółach zwyczajowych w kroju i sposobie noszenia stroju polskiego stały się w tej pracy bardzo przydatnem uzupełnieniem. Tym sposobem powstało to pismo — można powiedzieć pierwsze w swoim rodzaju — i jedyne, które wszystkie szczegóły stroju narodowego pod względem kroju i sposobu noszenia dokładnie i zrozumiale dla wykonawców opisuje.

I.

Strój pierwotny.

Relacye, jakie zamierzamy dać o stroju pierwotnym, odnosić się mają do takich czasów i podań, do których nawiązują się naszej ojczyzny pierwotne polityczne dzieje. Cofnąć się więc musimy wstecz do kolebki narodu, ażali w tych pierwiastkach bytu nie znajdzie się jaki ślad pochodzenia strojów późniejszych. Pewna zgodność co do nazwy, sposobu noszenia, nareszcie formy, może nam wskaże przynajmniej prawdopodobne znamiona tożsamości poszukiwanego przedmiotu z nowszych czasów. Droga ta ma być niejako wyprowadzeniem rodowodu stroju naszego, który w późniejszych wiekach pod wpływem ogólniejszego wykształcenia mógł ustalić swoje panowanie w ciągu całego bytu politycznego Rzeczypospolitej, a w obecnych czasach jest jedynym typem, zasługującym na miano stroju narodowego.

Podstaw pierwotnego stroju naszego powinniśmy szukać u pierwotnych Słowian, osiedlonych na przestrzeni, reprezentującej późniejszą Polskę, a więc od Odry do Dniepru, od Bałtyku do gór karpackich. Z rodu tego ród nasz wywodzimy: zwyczaje rodu tego niezawodnie dziedzicznie ustalały się, przechodziły z pokolenia na pokolenie z właściwemi swojemi cechami sposobu życia, pracy, spólnej obrony. W tym kierunku i strój zapewne zachowywał cechy spólnego rodu, a z postępem czasu i ogólnego wykształcenia, ustalał formy sobie właściwe, ogólne i dlatego narodowe. Że pierwiastków tego stroju szukać zamyślamy u Słowian, pierwotnych mieszkańców tej ziemi, to już leży w naturze rzeczy. Ta Polska, ta późniejsza rzeczpospolita nasza, nie obcą przemocą, nie napływem obcych żywiołów powstała, ale, jak nam z dziejów wiadomo, lud ten walką przeciwko obcym zalewom samoistność swoją zachował, pierwsze społeczne związki ustalił, z siebie hierarchią stanów wytworzył, które się stały później podwaliną i szczytem wspaniałej

i potężnej Rzeczypospolitej polskiej. Równocześnie z tym rozwojem musiało postępować i wykształcenie się stroju narodowego, który cechy swoje dziedzicznie ustalał i w pełni swej świetności — jako jedynie narodowy — do ostatnich dni Rzeczypospolitej miał znaczenie.

Taki więc tylko strój moglibyśmy uważać za nasz rodzimy, za narodowy. Nie mamy bowiem zamiaru opisywania, jakie stroje w Polsce noszono, tylko jakie stroje były w Polsce strojem narodowym.

* * *

Epoka, do której badania nasze odnosimy, sięga czasów przedhistorycznych i kilku wieków ery chrześciańskiej. Badania obcych pisarzów, Greków, Rzymian, dają o nich niejakie wyjaśnienia. Na podstawie tych zródeł pisze dr. Hanusch[1]: „U Słowian w pierwotnych czasach była zupełna równość, nie było szlachty i stanów podrzędnych, jak u Germanów; każdy nazywał się bratem i tem imieniem był witany, co dotychczas u niektórych Słowian, jak n. p. u Polaków i u południowych Słowian jest w zwyczaju. Prokop z Cezarei, który żył i pisał w szóstym wieku po Chrystusie, mówi wyraźnie, że od najdawniejszych czasów Słowianie żyją w zupełnej demokracyi, że nie mają żadnego naczelnika i wiodą życie patryarchalne.“

Dalej pisze na str. 115: „Idea osobistej wolności u żadnego ludu w starożytności nie była z tak silnem poczuciem w życie przeprowadzoną, jak u Słowian... Co się tyczy społecznego życia dawnych Słowian, to własność ziemska była albo wspólną albo prywatną. Lasy były własnością wspólną, pola i łąki należały do pojedyńczych właścicieli.“

Wyobrazić sobie możemy, że przy tej równości społeczeństwa zwyczaje domowe i strój naszych praojców był jednaki. Nie mogło być inaczej.

Surowiecki w dziele: *Śledzenie początku narodów słowiańskich*, pisze o nich, iż do upadku pogaństwa nie było u nich ani panującego, ani książąt, ani różnicy stanów. Każdy gospodarz, naczelnik rodziny, należał do wyboru zwierzchnika, do stanowienia praw i obrad narodowych.

---

[1]) Vorlesungen über die Kulturgeschichte der Menschheit, str. 111.

Podzieleni na wielką liczbę osobnych pokoleń i obwodów, każde z nich składało jakby osobną Rzeczpospolitę: Obwody zwano **żupaniami**, naczelników tych obwodów **żupanami**.

W potrzebie wspólnej obrony łączyły się te obwody z drugimi; naczelnikiem kilku obwodów (żupanij) był **Pan**, a do wojny wybierano **Wojewodów**.

Gdy potrzeba tej obrony minęła, wszystko wracało do codziennego życia; chwilowe zwierzchnictwo i tytuły na czas walki postanowione, nie miały donioślejszego znaczenia; nie ustalały się przy jednych osobach, bo pochodziły z wyborów, a przy następnej jakiej potrzebie do przewodnictwa prowadziła ta sama droga.

Zaszczyty **pana** i **wojewody** nie były więc dziedziczne; to byli ludzie z ludu, wybieralni jak dzisiaj na przykład wójtowie, przysiężni, atamani i t. p. O jakichś dystynkcyach w strojach nie mamy powodu do robienia wniosków; był to stan rzeczy zapewne taki, jaki jest dzisiaj przy wybieralnej starszyźnie wiejskiej.

Z czasem jednak, z powodu częstych napadów Germanów od zachodu, taka organizacya gmin, takie zwierzchnictwo wojenne, wymagało nareszcie ustalenia. W każdym atoli razie godności te wychodziły z wyborów, nie stawały się dziedzicznemi, nie tworzyły się ztąd **rody**, nie dzieliły na stany. Patryarchalna równość miała swoje utwierdzenie. Pan i wojewoda — chociażby dożywotni — był człowiekiem z ludu, pochodzeniem równy, chociaż w działaniu wywyższony.

Gdy w tym składzie społeczeństwa zapytamy o obyczaje i zwyczaje, to ujrzymy tam z pewnością stałą, godzącą się z każdem położeniem, prostotę. Człowiek, wyniesiony powołaniem do przewodnictwa, nie zrzekał się swojej przeszłości, uzacniał ją. Praca, trud i poświęcenie nie wymagały odznak i zaszczytów według naszych dzisiejszych wyobrażeń. Ówczesny wojewoda w jakim stroju obsiewał swoją rolę podczas pokoju, w takim prawdopodobnie prowadził swoje zastępy na wrogów. Wybrany dla roztropności swojej i męztwa, strojem swoim należał równy do równych według obyczaju narodu. Tak strój narodowy, jak każdy zwyczaj, szedł z człowiekiem od dołu do góry — był jednaki.

Ale jakiż był ówczesny strój naszych przodków?

Surowiecki w przytoczonem powyżej dziele na str. 174 pisze: „Odzież Słowian według świadectwa Prokopa (pisarza z połowy VI. wieku) składała się ze spodni, z serdaka czyli tuniki, zastępującej koszulę, i z płaszcza albo saga. Głowę okrywali czapką, u jednych nizką, u drugich wysoką, kończatą. Ich obuwie składało się z ka-

wałka skóry zwierzęcej lub łyka, które, okrywając stopy, przypasane było taśmą aż do ikry."

Prokop nie podaje dokładnie, jakiego ludu słowiańskiego ubiór opisuje, a Surowiecki dodaje sam: „Cały ten ubiór odpowiadał najbliżej Dako-Geckiemu ludowi" [1]).

Dalej pisze Surowiecki: „Są ślady (?), że do czternastego wieku w Polszcze zwyczajnie jeszcze noszono *tunicam et palium;* za upowszechnieniem koszul lnianych (kiedy i zkąd?) właściwe koszule słowiańskie (jakie? czy owa tunica?) Polacy, jak się zdaje (?), przezwali żupanami, na których przed przyjęciem kontuszów tatarskich (?) nosili do późnych czasów Sagi, zwane u nich Sajan, Gunia, Koc. Pamiątka ich dochowuje się jeszcze u naszego pospólstwa w zwierzchniej sukni, zwanej kiecą albo kieską. Chłopi pierwotnym obyczajem noszą dotąd koszule na spodniach."

Długosz (wiek XV.), znakomity badacz dziejów naszych, w opisie Słowian sarmackich twierdzi, iż „suknią wołochatą nosili, znać futrzaną, a później kiedy osiedli i rolnikami być zaczęli, grubą, ręką żon i córek utkaną. Tak więc skóra z zabitego zwierza, nieco do miękkości tarciem przywiedziona, później samodział z szerści bydlęcej, zbitej lub uprzędzonej licho, w domu zrobiony i uszyty, odzieżą był jedyną; z niego spodnie, serdak, zastępujący koszulę, czyli świta lub sukmana, opończa, stanowiły ubiór; a kawał skóry surowej, łyka lub drzewa na podeszwę ostruganego, przepasany taśmą aż do ikry, nogi był ochroną." (Gołębiowski: „Ubiory w Polszcze" str. 5).

Opisanie to sięga wieków bardzo odległych, bo czas, kiedy nasi praojcowie osiedli i rolnikami być zaczęli, nawet oznaczyć się nie da. Szafarzyk w *Starożytnościach słowiańskich* pisze: „Naród rolniczy, gospodarski, kupiecki, jakimi byli dawni Słowianie, musiał od niepamięci mieszkać w stałych siedzibach i grodach."

Hanusch w zacytowanem już dziele pisze na str. 115: „Handel u dawnych Słowian był bardzo rozległy. Liczne są ślady, że jeszcze w przedhistorycznych czasach Grecy a szczególniej Fenicyanie przez Słowian handel aż do Bałtyckiego morza prowadzili, zkąd bursztyn, równający się wartości złota, sprowadzano. Handel ten trwał aż do

---

[1]) Dakowie, pochodzenia trackiego, mieszkali między Cisą, Dunajem, Prutem i Dniestrem. Getowie, lud pochodzenia germańskiego, w II. wieku po Chrystusie przy ujściach Wisły do Bałtyku osiadły, w III. wieku przeniósł się do Dacyi. Czyż to nasi, Słowianie?!

wieków średnich, a rozciągał się od morza Bałtyckiego aż do Arabii. Na wybrzeżach morza Wschodniego i Bałtyckiego znajdowano arabskie monety i inne cenne przedmioty.“

Zaznaczyliśmy już wyżej, iż w czasie trwogi, zagrożenia napadu drapieżnych Germanów, kilka obwodów, czyli żupanij, obierało jednego nadżupana, czyli pana, i dzielnego bojownika, czyli wojewodę, a po odbytej szczęśliwej ruchawce wszystko wracało — na razie — do stałego porządku, do równej pracy.

Z takiego to okresu pierwotnego żywota Słowian, naszych praojców, zaznaczają się — prawdopodobnie — pod względem pierwotnego stroju ich podane wyżej nazwy rodzime: gunia, kiecka, sukmana, opończa, które do dnia dzisiejszego w mowie i używaniu są u ludu. Jaki był ich krój, tego pisarze nie podają; wnosić można, że kiedy nazwy zostały, to i rzecz sama nie musiała uledz wielkiej zmianie; niema bowiem może na świecie ludu tak zachowawczego, jak lud nasz; o zachowawczości stroju każde pokolenie z tradycyi po przodkach swoich poucza się i te same wzory za życia dziadów wnukom przekazuje.

Powyższe rodzaje odzienia zaznaczają się nam, jako pierwotny strój naszych skromnych praojców, poszukiwanych w pierwszych dobach ludu słowiańskiego. Dalsze daty historyczne torować nam będą drogę do wniosków, o ile późniejsze nazwy czy formy strojów odnosić się dają do czasów pierwotnych, z nich wyszły lub na podobieństwo strojów ówczesnych, pod wpływem postępu utworzone być mogły. Gdyby nawet Długosz w braku relacyi autentycznych o nazwach, jakich dla stroju Słowian z owych czasów używa, nazwy te do podań obcych zastosowywał, to jednak jego podania byłyby dowodem, że się opierają na przedmiotach, które za jego czasów u ludu istniały i miały już za sobą tradycyę starożytności.

Według mniemania Surowieckiego, „do XIV. wieku zwyczajnie jeszcze noszono *tunicam et palium.*“ Nazwy te odnoszą się, jak nam wiadomo, do podań Prokopa; ale *tunicam et palium* nosili także Rzymianie i Grecy? Prokop nie podał nazw miejscowych tego stroju u Słowian, ani różnic, jakie zachodzić mogły między tuniką i palium Rzymian i Greków? — Nam zaś chodzi o rzecz jasną, o jej właściwą cechę. Przypuszczamy więc, że u Słowian lechickich musiało się to nazywać serdak i sukmana lub opończa, o których mówi Długosz. — Dalej pisze Surowiecki: „Za upowszechnieniem koszul lnianych; właściwe koszule słowiańskie,

Polacy, jak się zdaje, przezwali żupanami, a odtąd chłopi nosili koszule na spodniach.“

Z tej relacyi należałoby wnosić, że według mniemania Surowieckiego do XIV. wieku koszul lnianych w Polsce nie znano i że do tego czasu ową tunikę czyli serdak noszono na gołem ciele, a za upowszechnieniem koszul lnianych w wieku XIV. — jak mniema Surowiecki — owe koszule słowiańskie — to jest tę tunikę czyli serdak — Polacy przezwali żupanami.

Relacya ta zaznacza nam powstanie nowej sukni, a raczej przemianę nazwiska tuniki czy serdaka na nazwisko żupana. Gdy zaś z tą nazwą łączy się nazwa sukni, dotychczas powszechnie znanej i używanej w stroju narodowym, musimy ten przedmiot pod względem nazwy i rodowodu poddać osobnemu rozbiorowi.

II.

Żupan.

Jeżeli tunika oznaczać miała znany w owych czasach u Słowian i noszony na ciele serdak, to nie jest rzeczą prawdopodobną, ażeby nazwisko jego w XIV. w. z powodu nabytej koszuli zamieniono na żupan, kiedy serdaki pomimo żupanów istniały i do dnia dzisiejszego u ludu są w zwyczaju. Nie pochodził więc żupan — według naszego mniemania — od serdaka, ale musiał mie nazwę samoistną od rzeczy nowej, którą wypada nam odszukać.

Najbardziej mylą się — według naszego mniemania — ci, którzy dla podobieństwa brzmienia nazwy wyprowadzają żupan od Turków lub Tatarów, jak następujące podanie: „Żupan, długa suknia, jakby szlafrok, z tureckiego zubun i ziban; suknia spodnia, z rękawami krótkimi. W tatarskim czupkan zamiast czupan; w tatarskim bowiem języku przed zakończeniem *an* wstawia się głoska *k*, ztąd i nasz wyraz żupan. Dawny ubiór polski będąc tatarskim (?) i nazwy jego są tatarskie.“ (Muchliński źródłosłownik).

A więc podobieństwo nazwy — i tak naciągnięte — ma służyć za dowód pochodzenia! Rozumowanie tego rodzaju nie prowadzi nigdy do wniosków przekonywających. Zresztą, kiedy na ziemi lechickiej wyraz ten i zaszczyt jego był znany, to Turków i Tatarów jeszcze w Europie nie było.

Wyraz żupan dla sukni jest tak identyczny z nazwą tytularną ówczesnego zarządcy, urzędnika pewnego okręgu, że nie mamy po-

trzeby szukania pochodzenia sukni ani od tatarskich czupkanów, ani francuskich *jupon* lub niemieckich *joppe, juppe.* — Szukajmy go u siebie.

„Żupa, wyraz niewiadomego pochodzenia, oznaczał (faktycznie) pierwotny, polityczny podział kraju, odpowiadający późniejszym powiatom. Było to pierwotne ognisko, w którem się towarzystwo społeczne Słowian skupiało. W znaczeniu ziemi brana żupa istniałą u Chorwatów, Dalmatów i wszystkich Słowian nad Dunajem, w Czechach, na Śląsku i na Pomorzu. Przełożonych nad temi żupami urzędników nazywano żupanami“ [1]).

Żupanowie więc byli wybranymi przez lud rządcami; oni zwoływali wiece (wieniec zgromadzonych) dla narad w sprawach publicznych; byli rozjemcami w sprawach prywatnych, słowem urzędnikami według pojęć i potrzeb ówczesnych, wybranymi z pomiędzy celujących roztropnością i zacnością charakteru współmieszkańców tego obszaru ziemi, czyli żupy.

Według naszego mniemania, suknia żupan powstać mogła tylko w owych czasach, kiedy żupanowie posiadali jeszcze swoje urzędowe znaczenie. Prawdopodobnie nawet jeden z nich dał jej początek pomysłem swoim i ustalił przez to zasłużone tej sukni nazwisko. Później bowiem, mianowicie od XI. wieku, kiedy już tworzono szlachtę, mianowicie kasztelanów w grodach, nazwa żupy przeniosła się wyłącznie na kopalnie kruszców i soli, a przełożonych ich nazwano żupnikami, wtenczas już nazwa pierwotna i znaczenie jej zmalało. A gdyby w czasach panowania królów byli jeszcze jacy żupanowie — jak wspomina Gołębiowski o czasach Władysława Łokietka — to wtenczas, kiedy już powstawali inni dygnitarze, trudno przypuścić, aby jakiejś nowej, niepokaźnej sukni dano nazwisko zaszczytne, wiekopomne, według jakiegoś skromnego, nie mającego w społeczeństwie wybitnego znaczenia żupnika czy żupana. Zdaje nam się więc, że suknia i nazwisko jej pochodzi z czasów patryarchalnych pierwotnych Słowian lechickich, kiedy jeszcze żupanowie władali nad żupaniami; że suknia ta została sporządzoną — prawdopodobnie — według pomysłu jednego z ówczesnych żupanów, że się upowszechniła pierwotnie między żupanami, a później, jako odzienie praktyczne a wcale nie odstępujące od zwyczaju narodowego, stawała się suknią wszystkich późniejszych urzędników i dygnitarzy narodowych.

---

[1]) Maciejowski: Hist. prawodawstw słow. I. §. 543.

Niech sobie nikt nie wyobraża, że mówiąc o żupanie, mamy do czynienia z suknią wykwintną, misternie jakoś przykrojoną, do której utworzenia potrzeba było inwencyi jakiegoś rutynowanego i pomysłowego krawca; bynajmniej — rzecz bardzo pojedyńcza, jak dziś nawet dla każdego łatwa. — Przekonamy się bliżej, że pierwowzór żupana noszą na sobie wszyscy nasi mazowieccy i ruscy włościanie do dnia dzisiejszego, a krojem i szyciem zajmują się ich żony i dziewki. Z wzoru tego — jaki mamy stale przed sobą, który w tym samym materyale i kroju znany był przed wiekami, w prastarych czasach Słowian lechickich — powstał według naszego mniemania ż u p a n, również zapewne skromny, a uzacniony u klas wyższych i zamożniejszych w narodzie w czasach późniejszych.

Jeżeli się przypatrzymy żupanowi, nie uwzględniając materyi, z której zrobiony, lecz zastanowimy się nad jego krojem i sposobem noszenia, to ujrzymy wielkie prawdopodobieństwo, że żupan jest tylko p r a k t y c z n ą o d m i a n ą l n i a n e j, z w y c z a j o w e j u l u d u k o s z u l i, n o s z o n e j p o w i e r z c h u s p o d n i. — Nie był on o b o k koszuli drugiem, nowo wymyślonem u b r a n i e m, lecz był jej szlachetniejszą z a m i a n ą. Jako zastępca koszuli, zajął jej miejsce i znaczenie o d z i e n i a noszonego po wierzchu spodni, a koszula stała się przy nim pierwszem okryciem ciała, podporą i o c h r o n ą o d z i e n i a. Tego sobie na razie pozwolili żupanowie, a może jeden z nich był twórcą pomysłu i pierwszym wykonawcą: ztąd prawdopodobnie pochodzić może tego ubrania nazwisko.

Wnioskiem dalszym tego założenia jest to, że nowe to ubranie dla identycznego znaczenia zwyczajowej koszuli powinnoby być robione z tego samego materyału, co koszula: więc z wyrobu włókien lnianych lub konopnych, z płótna lub wyrobu innego nazwiska z tego materyału; więc w każdym razie z przędzy konopnej czy lnianej — i tak zapewne było.

To nas prowadzi jednak do pytania, czy znano u nas płótno pierwej, niż mniema Surowiecki (str. 62); czy znano i używano u nas płótna w tym czasie, kiedy jeszcze żupanowie mieli w gminie i obwodzie stanowisko urzędowe: mieli tytuł zwierzchnictwa. Należy nam się przeto rozpatrzeć w owej przeszłości, szukać tradycyi o płótnie, jakie są ślady o posiadaniu płótna u naszych przodków, czy możliwą jest rzeczą, ażeby je posiadali w wieku przynajmniej dziesiątym, nie w czternastym, jak mówi Surowiecki? Otóż na te pytania starać się będziemy najprzód odpowiedzieć.

W tym celu nieobojętną będzie rzeczą stwierdzenie dawności bytu Słowian i stosunku ich do kultury innych ludów spółczesnych,

ponieważ oba te względy na rozwój sił własnych niezaprzeczenie wpływać musiały. Ciągłość bytu, zgodne wzajemne stosunki, naśladownictwo i potrzeba stwarzają środki, wyrównują w narodach kulturę.

* * *

Szafarzyk[1]) pisze: „Podług tego dostateczne przyczyny i dowody zmuszają nas przyjąć za prawdę, że szczep słowiański w Europie równie jest tak stary, jak szczepy: litewski, niemiecki, celtycki, łaciński i tracki, że siedliska jego w najdawniejszych czasach rozpościerały się od morza Adryatyckiego aż ku Bałtyckiemu, od nadbrzeża Odry aż ku źródłom Dniepru i Donu i że ludnością swoją wówczas już najludniejszym szczepom europejskim wyrównywał albo je nawet przewyższał. Zdanie kilku pisarzów, jakoby Słowianie dopiero w czasie wielkiej wędrówki narodów uralskich, albo nieco pierwej do Europy wtargnęli, już nam teraz w prawdziwem świetle, to jest w całej swojej nicości i niedorzeczności przed oczami staje. Tak wielkie szczepy, jakim widzimy słowiański na końcu niniejszego i na początku następnego okresu, nigdy od razu zkądinąd nie przychodzą, ale na miejscu wzrastają. Wiele tysięcy lat spokojnego przebywania na stałych siedliskach potrzeba do tego, aby jaki naród takiej rozległości i ludności dosięgnął, w jakiej nam się szczep słowiański przy schyłku tego wieku pojawia“ (t. j. po zniszczeniu panowania Hunów i Rzymian, które wkrótce po sobie nastąpiły r. 469—476).

Dr. Hanusch[2]) pisze: „Mniemanie, jakoby trzy główne europejskie ludy, Celtowie, Germanowie i Słowianie na kilka tylko wieków przed historyczną naszą rachubą (nar. Chr.) do Europy przybyli, jest płytkiem mniemaniem uczonych, pozbawionem wszelkiej podstawy. Nie masz żadnego historycznego świadectwa na poparcie faktu, że ludy te z Azyi przywędrowały... Przeciwko tym podaniom świadczą znamiona pewnej już ustalonej kultury, znalezionej u tych ludów przez Greków i Rzymianów, a nareszcie rozwój ich języków. Języki te były już organicznie tak rozwinięte, a tak nie podobne do żadnego z języków azyatyckich, że ludy te już przez wiele setek, nawet tysięcy lat w Europie mieszkać musiały.“

---

[1]) Starożytności słowiańskie, t. I. s. 678.
[2]) Kulturgeschichte der Menschheit, s. 101.

Według badań Hanuscha poznajemy, jak rozległym był handel ówczesnych Słowian: „Jeszcze w przedhistorycznych czasach Grecy i Fenicyanie przez Słowian handel do Baltyckiego morza prowadzili. Handel ten trwał aż do wieków średnich, a rozciągał się od morza Baltyckiego do Arabii.“

Szafarzyk (s. 692) mówi: „Pierwotnym i głównym starosłowian żywiołem, z którego się wszystkie inne wywijają, było rolnictwo i gospodarstwo. Lud, zaiste, niem się trudniący, słodki, łagodny, oświeceńszym cudzoziemcom nie groźny, a nawet przystępny i gościnny, nie mógł długo zostawać bez innych wygód życia, bez wynalazków, rzemiosł, kupiectwa i t. d. Jakoż w rzeczy samej widzimy już u najdawniejszych Słowian ślady znakomitego, ogólnego ukształcenia przemysłu, czyli rzemiosł i sztuk, tudzież obyczajowego wychowania.“

Dalej (s. 696, 697): „Handel bursztynem początkowo znajdował się także w ich ręku; później zaś przynajmniej w części przez ich ziemie przechodził. Słowianie wyprowadzali do obcych krajów skóry, kożuchy, zboże, miód, wosk, wyroby drewniane i t. d., nawzajem zaś od innych sprowadzali płody przyrody i przemysłu obcych krajów, jak złoto, srebro, jedwab, zbroje i t. d. Za czasów Herodota kwitnęła kupia (handeł) nad Borystenesem (Dnieprem i Berezyną), gdzie mieszkali Słowianie. W pierwszem stuleciu przed Chr. znajdujemy wzmiankę o kupcach windyckich, czyli słowiańskich, płynących morzem Baltyckiem do obcych ziem w sprawach handlowych. Odtąd powstały u nich liczne miasta kupieckie, które od czasów niepamiętnych wzrosły w znakomitą ludność, bogactwo i przemysł. Wszystkie znakomitsze miasta i miasteczka na Rusi, w Polsce, na Pomorzu i t. d. kwitnęły już dawno przed przyjęciem wiary chrześciańskiej, tak, że ich początek i wzrost można odnieść nie bezdowodnie do najdawniejszych czasów. Miasta te były drewniane, stosownie do właściwości ziemi płaskiej i lesistej.“

„Pewną jest rzeczą, że w licznych rzemiosłach, mianowicie w ciesielstwie i kowalstwie, w budownictwie i łódkarstwie, w ircharstwie (białoskórnictwie) i rzemieniarstwie, w górnictwie i rzeźbiarstwie i t. d. niepowszedniej dostąpili biegłości. Już w połowie VI. wieku nietylko Awarowie, ale nawet i sami Grecy używali ich do robienia i kierowania korabiów.“

Szafarzyk, wyliczając rzemiosła, w których Słowianie „niepośledniej dostąpili biegłości“, nie wymienia wprawdzie tkactwa, ale dodaje swój dopełniacz: i t. d., na podstawie którego możnaby i płóciennictwo przypuszczać. Nie opieramy się na tem, ale zwra-

camy uwagę: jeśli ci Słowianie u siebie na Bałtyku mieli statki, którymi płynęli do obcych ziem w sprawach handlowych, toć musieli mieć liny i żagle, prawdopodobnie konopne? Nareszcie, skoro Słowianie wyprowadzali do obcych krajów skóry, kożuchy, zboże i t. d., a sprowadzali płody przyrody i przemysłu obcych krajów: złoto, srebro, jedwab (zbytkowny!), to gdyby im brakowało płótna, artykułu tak ważnego do ubrania — mianowicie, kiedy gruby wełniany samodział na ciele nosili — z pewnością nie zaniedbaliby ten towar sprowadzać od innych ludów z południa lub dalekiego wschodu, gdzie płótno od dawna znano i wyrabiano. — Za czasów Judei aż do zburzenia Jerozolimy rytualne ubiory kapłanów i wszystkie przybory ich w świątyniach musiały być robione wyłącznie z płótna. Szaty lniane były używane także przez kapłanów pogańskich przy obrzędach religijnych.

Powołamy się dalej na to, co Surowiecki (str. 84) podaje o Herodocie: „Herodot (450 lat przed Chr.) szczególną zaletę daje płótnu z konopi tkanemu u narodów trackich (gdzie dziś Bułgarya, Rumelia); mężczyźni nosili z niego tuniki krótkie i płaszczyki.“

Dalej Surowiecki (s. 104) podaje według Tacyta o Germanach: „Płaszczyki robione były ze skór zwierzęcych, z rogóżek, czyli łyka i tkanin lnianych lub wełnianych, upstrzonych często w różne kolory. Ubiór kobiet tem się tylko różnił od męskiego, że był częściej z płótna upstrzonego rozmaitemi farbami.“ (Tacyt pisał w pierwszym wieku po Chrystusie).

Zdaje się rzeczą niepodobną do uwierzenia, aby ówcześni Słowianie, prowadzący tak obszerny handel, sprowadzający od obcych z różnych stron przedmioty nawet zbytkowne, zaniechali sprowadzać płótna dla siebie, tak pożądanego materyału na ubranie letnie, a znajdującego się w odwiedzanej przez nich Tracyi i u sąsiednich Germanów?

A teraz pozwalamy sobie przytoczyć kilka szczegółów i pism, wyłącznie nas dotyczących.

Schrader[1]) podaje z czasów przedhistorycznych o Słowianach ł Litwinach, że w języku ich znajduje wyrazy na len, konopie i warstat tkacki.

Surowiecki (s. 147) pisze: „Słowianie umarłego opatrywali w to wszystko, czego pospolicie używał w tem życiu i co mu służyło w jego powołaniu i przemyśle, jako to: z przystojną odzieżą mężczyznę w oręż, nóż, siekierę, krzesiwo; kobietę w igłę (do

[1]) Sprachvergleichung und Urgeschichte, 1883.

czego służącą?), nici (z czego?). nożyce i t. d." — Musiano więc mieć przędzę i szyto, robione z niej ubrania.

Jeszcze wyraźniej pisze ten autor (s. 176): „Nie mamy dokładnych wiadomości, jaki był dawniej właściwy ubiór kobiet słowiańskich; zdaje się, że koszule ich z rękawami fałdzisto spadały aż do kostek i że na tych nosiły kabaty, długie do kolan. Taką odzież znajdujemy między innemi najwyraźniej u Potockiego w zbiorze Starożytności Prilwickich [1]), fig. 105. Jest podobieństwo, że mężatki głowy okrywały czepcami lub kawałkiem płótna (?), czyli chustą, jak fig. 29, 34 u Mascha; a dziewy chodziły z głową odkrytą i długimi włosami w warkocz aż do zamężcia."

(Ciąg dalszy nastąpi).

J. Horoszkiewicz.

---

[1]) Prilwice, wioska mała z zamkiem na Pomorzu. Tam odkryto starożytności słowiańskie, które opisywali i objaśniali: Jan Potocki i Masch.

O DWORACH I DWORKACH SZLACHECKICH.

. . . .
. . . .
»I znałem ludzi kutych jak ze stali,
A kiedy za mnie bywali takiemi,
To jużciż musiał być tam ktoś przed niemi.«

(W. Pol).

I.

Czytając niedawno, że spekulanci i znawcy zagraniczni zakupili znowu u nas trzy szafy, znakomite antyki, za wysoką cenę, ażeby nas obedrzeć a zbogacić niemi obce zbiory, — przyszło mi na myśl to, co już raz na tem miejscu wspomniałem, że choć wypadki r. 1846 w zachodnich obwodach wiele takich starych i bogatych zabytków zniszczyły, to przecież więcej się ich tam przechowało niż tu na Rusi. W tej części Galicyi, która choć po odebraniu od Turków Kamieńca Podolskiego nie była już narażoną na ich napady, to za to inne wojska w przeszłem stuleciu często ją pustoszyły, bo łatwiej im było rabować dwory i dworki szlacheckie niż zamki możnych panów, których załoga nadworna strzegła i broniła.

Jednak i tu jeszcze z cennymi zabytkami spotkać się można.

W dawnym obwodzie kołomyjskim rodzina Cieńskich, od kilku wieków osiadła, wiele takich pamiątek historycznych przechowała.

Najprzód w zameczku swoim w Czernelicy, a potem we wsi Oknie, położonej o kilka mil dalej od Dniestru.

Są to zbiory z różnych czasów, jak namioty i broń, zdobyta pod Wiedniem i pod Parkanami przez rotmistrza Wojciecha Cieńskiego, jak i inne rzeczy z późniejszych lat.

Zbiory okieńskie i piękna biblioteka z galeryą obrazów zawdzięczają swój początek potomkowi tej rodziny w początkach tego wieku.

Pan Mikołaj Cieński był szeroko znany jako człowiek wytwornego gustu i wysokiego wykształcenia, znawca sztuk pięknych i pamiątek ojczystych, które chętnie zbierał i starannie dzieciom zachował.

Od najmłodszych lat ubierał się po polsku i to go jako ładnego mężczyznę odróżniało nietylko w jego okolicy, ale w całym prawie kraju, gdzie miał licznych przyjaciół, a strój polski był już rzadkością.

Także jako znawca i lubownik kwiatów i ogrodów, założył ładny ogród w Oknie.

Znał doskonale genealogie bardzo wielu rodzin w Polsce, wiedział, kto rodził każdą babkę.

Raz w towarzystwie stary wiarus, kapitan Dunin, trzymając gazetę *Czas* w ręku, której redaktorem był wtenczas Maurycy Man, chcąc go złapać na nieświadomości, zagadnął:

— Czy też Panu Dobrodziejowi nie jest wiadomo, kto rodzi Maurycego Mana?

— Owszem, wiem, proszę Asana Dobrodzieja, matką jego była ta a ta, a matką jej była znowu ta.

Powstał śmiech i ogólne zdziwienie, zkąd i to jest wiadomo panu Cieńskiemu?

Bardzo jednak naturalnem zdarzeniem miał tę wiadomość, bo matkę sławnego publicysty Mana, której rodzice byli u pp. Odonellów w Michalczu, prowadził w swojej młodości do ślubu, a ojciec był komisarzem cyrkularnym w Kołomyi.

W sąsiedztwie po r. 1831 mieszkało dwóch kniaziów Puzynów, oficerów z wojska polskiego. Roman, ożeniony z córką jenerała Dwernickiego, Józef z hr. Koziebrodzką. Obydwaj byli niezmiernie typowymi ludźmi i powierzchownością zdradzali swój charakter wojskowy i obydwaj podobno byli majorami w artyleryi, a początek służby liczyli z wojen Napoleona I.

Z takiemi to marsowemi postaciami, jak byli panowie Puzynowie, osiwiałemi w bojach i trudach żołnierki, — które nam młodym swoją świetną przeszłość opowiadały, — nie w jednym tu dworze i dworku, słomą krytym, z małym ganeczkiem o dwóch słupach, w którym cię na progu witał gospodarz z otwartemi rękoma, mogłeś się spotkać i niejedną w nich znaleźć cenną z dawnych lat pamiątkę.

Dziwny jakiś urok otaczał takich osiwiałych starców. Na twarzy malowała się prawość i powaga tak wielka, że mimo woli uchylałeś przed nimi czoło i na ich słowo nieraz zawierzyłbyś był wszystko.

II.

Takie dworki małe miały swój oddzielny styl. Sień dzieliła je na dwie równe połowy, z dwiema stancyami po bokach: w jednej jednak najczęściej mieściła się kuchnia lub spiżarnia. Z frontu zaś był mały ganeczek, a na przeciwnej stronie była długa galerya pod dachem lub odkryta, a jeśli tej nie było, to cały domek otaczał w około parkanik lub sztacheciki, zwane balaskami. Styl taki zarówno był używany w Krakowskiem, jak i tu na Rusi, z tą tylko najczęściej odmianą, że w Krakowskiem dworki były gontem kryte i z drzewa budowane, a na Rusi słomą poszyte i ściany miały walkowane.

To się praktykowało od dawnych czasów, gdyż inwentarze z XVII. wieku tak samo je opisują, różnią się tylko tem, że w starych inwentarzach bywa ganeczek nazywany „altanką“, nad którą mieścił się pokoik, do którego ze sieni po schodach się wchodziło.

Przy większych dworach kuchnia była w osobnym budynku, na ten cel umyślnie przeznaczonym. W środku mieściła się duża czeladna kuchnia z ogniskiem na wierzchu i kotłem na żelaznym postumencie, tak zwanym trójnogu. Na lewo była kuchnia pańska — piec piekarniany, szafa na naczynia i stół dla kucharza, a na prawo stancya dla niego. Z frontu zaś tego budynku było poddasze na słupach ozdobnych.

Podobne poddasze, jak kuchnia, miał także często i spichlerz, który stał na tem samem podwórzu, a jeśli był o piętrze, co się często trafiało, miał na górze galeryę otwartą albo krytą ze słupkami rzeźbionymi, po której się wchodziło do osobnych przegród na zboża. Budynek taki miał strukturę dosyć fantastyczną o dachu z kondygnacyami i poddaszami po bokach.

Taki spichlerz stał za mojej pamięci u pana Sławińskiego w Rokowie pod Wadowicami. Odpowiadał on tam staremu dworcowi, zbudowanemu o piętrze z drzewa modrzewiowego, który z frontu po obydwóch stronach wielkiej sieni miał dwie sale, każda o pięciu oknach, z małymi przedpokoikami i na rogach z wystającymi gabinecikami, które jak dwie narożne baszty wyglądały, a w środku wysokiego dachu, także o kondygnacyach, miał piętro przez całą szerokość domu z balkonem krytym, który formował zarazem duży ganek na słupach ozdobnych.

Pod spodem były widne i obszerne piwnice. W jednej nawet był piękny kominek; widocznie przeznaczona była na mieszkanie.

Brama, przez którą na podwórze się wjeżdżało, wyglądała jak budynek, bo miała po obydwu bokach stancye, jedną dla stróża, drugą dla dozorcy.

Na podwórzu była także nieodzowna studnia z daszkiem i kołem lub żurawiem i buda na psy „Micindę“ i „Nigrę“ rasy żółtokudłatej. Za dawniejszych jeszcze czasów był na podwórzu słup gruby z kółkami, do których upinano konie przyjezdnych. Kółka były srebrne, mosiężne i żelazne, stosownie do dystynkcyi gościa, jaki konno przyjechał.

Za dworem był sad z rozłożystemi i wysokiemi jabłoniami i gruszami. Drzewa te, choć były nieraz stare, nie miały przecież owych raków, jakie dziś młode szczepki niszczą i nie dają im wyróść i zgrubieć. jak ich pradziady. W sadach nie mało miejsca zajmowały orzechy laskowe, tureckie i włoskie. Te ostatnie często były bardzo duże i wysokie.

W takich to lochach podziemnych, jak piwnica w Rokowie, znaleziono w starym zamku w okolicy Sandomierza arcyciekawy zabytek z czasów bardzo starych, bo zapewne za panowania Bolesława Śmiałego, kiedy swawola za daleko posunięta była i cnoty niewiast potrzeba było zabezpieczać przed sromotą, a może i z czasów późniejszych, bo i w XIV. wieku jeszcze się wydarzały niewierności niewiast, albo despotyzm i nieufność szła za daleko w tyranii i obronie.

Była to maszynka żelazna, rodzaj kajdan niewieścich, w które mąż, idąc na wojnę, zakuwał żonę. Żelazko to było w formie grubej tasiemki, powleczone jaką jedwabną materyą — przez czas już bardzo uszkodzoną, — miało dwa otwory: okrągły i wązki, zębaty.

Zabytek ten może jedyny jeszcze przechowany, niepodobny prawie do wiary przez swoją zbyt odległą przeszłość, zaginął dopiero w czasie rabacyi w r. 1846, a przechował się w rodzinie Szembeków u Sydona Szembeka w Sierszy pod Wieliczką.

Sam go tam widziałem i o autentyczności tej starości jego z wiarogodnych ust słyszałem — dlatego go tu opisałem — a pisząc stare dzieje, pragnę zachować w ludzkiej pamięci coraz więcej już ginące pamiątki i antyki w dworach szlacheckich i wskazać. gdzie się jeszcze zachowały.

Także po Szembekach, niedaleko Częstochowy u pana Michała Poleskiego w Rokitnie jest kareta, w której książę Józef Poniatowski, bawiąc w Krakowie ze swoją świtą w r. 1809, jako w bardzo okazałej familijnej landarze pana Ignacego Szembeka, zaprzężonej czterema końmi tarantowatymi — jechał na bal, dany w Sukienni-

cach. I na pamiątkę tego więcej już nie była używana i w takim stanie do dziś dnia jest przechowana.

Kozioł zaś u niej jest tak wysoki, jak i sama na swoich wielkich kołach, że raz furman, zleciawszy z niego, ledwo życia nie stracił.

W Rokitnie, w starym modrzewiowym dworze, przechowały się jeszcze i inne pamiątki po Szembekach, jak biórko starożytne, dwa świeczniki marmurowe, zegar alabastrowy, stoliczek i skrzyneczka, wykładana kamieniami, oraz drogocenny antyk, stoliczek po Henryku Walezyuszu i Katarzynie Medycejskiej, pochodzący od księcia Józefa Poniatowskiego.

Niemała to już dziś zasługa takich ludzi, jak właściciela Rokitna, że umieją podobne pamiątki szanować, i co więcej, starannie je przechowywać, ażeby nie zaginęły, jak wiele już ich zginęło, i co rok, z wielką naszą szkodą, więcej jeszcze ginie.

III.

Przy opisie w starych inwentarzach znaleźć można i niejedną ciekawą wzmiankę o ówczesnych poddanych, jak zmieniały się ich wiekowe powinności i jak i kiedy powstawały, czyli formowały się ich nazwiska. Jest to dosyć interesującc dla historyi i jedynie na podstawie starych inwentarzy, jak powiedziałem, poznać można te dawne nazwy, bo *status animarum* dokładnie ich nie podaje.

Mając więc stare akta wsi Tłuczani i Kossowy z samego początku XVII. wieku, znajduję w spisie na potrzeby Rzeczypospolitej w r. 1637 wymienione nazwiska z imion tylko wzięte: „Marcinek“, „Grześ“, „Janeczek“, „Sobczyk“, „Joachimek“, a niektóre znowu od rzemiosła, jak „Bednarz“, „Kucharz“ i t. p. Dopiero w sto lat później, w inwentarzu z r. 1738 widzimy nazwiska, które już tam aż po nasze czasy się zachowały i teraz jeszcze istnieją. „Kmiecie: Jan Woźniczka, Kazimierz Witek, Jan Pawlik“; zagrodnicy: „Jakób Kałuża, Franciszek Książek, Wojciech Markus“ i t. p.

W tym inwentarzu także znajdujemy, że każdy kmieć „ma po parze wołów pańskich“ i że ci kmiecie są obowiązani „zboże na targ do Kęt lub do innych miast za dzień Pański wywieść, teraźniejszej nowej miary, zboża twardego pięć korcy, owsa półosma, ponieważ tylko po parze wołów mają“ — i to samo powiedziano: „sól suchedniową z Wieliczki za dzień Pański wywieść kmiecie wszyscy powinni, y oraz ku granicy szląskiej zawieść; kmiecie Chrząstowscy

po 3 beczki soli, bo mają po 4 woły, Tłuczańscy po beczek dwie swoją mocą brać powinni."

Mówiąc o tych starych zwyczajach, czyli powinnościach przeszłego stulecia, wspomnieć muszę, że i za moich dziecinnych lat nie przypominam sobie żydka, kupującego zboże w Kossowy, tylko tak samo wywożono je na targi do Andrychowa i chłopi byli kupcami; w Kossowy był takim kupcem Kałuża, a w Tłuczani Zając i Wojnowski, którzy handel prowadzili na obszerną skalę w całej okolicy.

Do takich jeszcze starszych zwyczajów cofnąwszy się, potrzeba przypomnieć, że statut toruński za Zygmunta I. w r. 1520 pierwszy uregulował powinności włościan, czyli pańszczyznę, mającą się odrabiać z włoki. Przedtem dowolne były zobowiązania przy obsadzeniu tak kmieci, jak i zagrodników na świeżem korczeniu wykorczowanego pola, o czem statut toruński tak powiada: „Odtąd nam i panom swoim z każdego łanu jeden dzień tygodniowo odrabiać będą obowiązani, z wyjątkiem tych osadników, którzy bądź to czynszem w pieniądzach, bądź też osypem zbożowym lub innego rodzaju daniną robociznę już przedtem skupili."

W przywilejach z wieku XIV. wyjątki stanowiły niektóre klasztory, posiadające cokolwiek więcej uprawnej ziemi. Jest w nich wymieniona robocizna, iż kmiecie z każdego łanu jeden morg pod ozimine i jeden pod jarzynę mają zorać, dworskiem ziarnem zasiać, zwłóczyć, a w lecie zżąć i do gumna zwieść [1]).

IV.

Przy braku osobnych pokoi gościnnych na początku tego stulecia w ówczesnych dworach, w razie potrzeby wnoszono najczęściej do jadalnej sali łóżka składane, które, kiedy się rozłożyły, zapinane były na haczyki i na nie kładł się skórzany materac.

Przypomina mi to zabawny wypadek, jaki się zdarzył w Kossowy. Przyjechał do dziadostwa moich urzędnik, Niemiec, z cyrkułu. Figurka niezmiernie miała być żywa, gdy więc w nocy niespokojnie spał, haczyki się rozpięły i łóżko się zamknęło, co wywołało przestrach pana komisarza; ale go to obraziło, bo rano bez pożegnania wyjechał.

Taki wypadek z urzędnikiem, lecz znacznie już później, stał się u Dominika hr. Reja w Przecławiu. Pan Rej miał niedźwiedzia

[1]) Dr. Franciszek Piekosiński.

chowanego, który często, jeżeli drzwi źle były zamknięte, wchodził do pokoju. Był spokojny, lecz zawsze swoją powierzchownością był straszny. Pan Kazimierz Chominski z Tarnowa wiedział o niedźwiedziu, ale nie sądził, że on w nocy używa wolności. W czasie najlepszego snu nagle uczuł, że do łóżka jego ktoś drugi się kładzie. Cóż był za straszny przestrach, kiedy usłyszał mruczenie i zobaczył kudłatego w łóżku towarzysza. Przeleżał z nim do rana w śmiertelnych potach, aż przyszedł służący i od natrętnego towarzysza go uwolnił. Nic nie pomogły przepraszania gospodarza, obrażony komisarz odjechał. A jak mówiono potem, że do strasznej śmierci pana Reja w r. 1846 i ten wypadek, jako zemsta Chomińskiego, miał się przyczynić.

V.

Często się dziś słyszy, jak wielu ludzi — nawet poważne umysły — spirytyzmem się zajmuje, szukając w sobie lub w drugich owego medium, mającego siłę przywoływania zmarłych postaci. Bierze więc ochota wspomnieć o tem, że i za moich młodych lat w niejednym dworku działy się rzeczy, z jakich ludzie nie umieli sobie inaczej zdać sprawy, jak tylko wierząc w duchy, które nietylko wtedy, kiedy je widzieli, ale i wtedy, kiedy o nich słyszeli, niepokoiły ich i straszyły. Wiele nawet takich strachów opisano, bo były miejsca i rodziny, które ich więcej doznawały i w nie wierzyły.

Matka moja, osoba bardzo religijna, opowiadała, że mieszkając za młodu w Radomskiem, miała sąsiadów państwa Wąsowiczów, u których w domu działy się dziwne rzeczy. Dwór był bardzo stary, jeszcze z czasów Czarnieckiego, bo do niego ten majątek przedtem należał. W dużych komnatach stały odwieczne sprzęty. W jednej z nich był niezwykłej wielkości piec kaflowy, stojący przy kominie z ławami w około, w głębokiej framudze, jak zwykle piece dawniej stawiano. W pewnej więc porze roku, zawsze o jednym czasie, nim światło podano, zjawiał się na ławce zakonnik zakapturzony. Siedział cicho i dzieci gospodarstwa tak się z nim oswoiły, że nawet bawiły się jego paskiem, czy sznurem. Zapewniała mię matka, że nieraz sama go widziała.

To samo mogę powiedziec i z moich lat dziecinnych, bo żywo mam w pamięci tę bojaźń, jakiej doznawałem, kiedy słuchałem opowiadających, co się stało w kościele w Seńczach u państwa Sławińskich. W wilią św. Michała wieczór, kiedy proboszcz kończył pacierze, przybiegł wystraszony organista z wiadomością, że kościół

się pali. Uderzywszy w dzwony, kiedy otworzyli kościoł, było już w nim ciemno. Ksiądz skarcił organistę, że niepotrzebnie go przestraszył i ludzi ze wsi zaalarmował, położył się do łóżka i na drugi dzień zapomniano już o tem. Dopiero po roku, kiedy ta sama scena się powtórzyła, przypomniało się im, że to dziwne zjawisko światła w kościele w wilią św. Michała o tej samej godzinie przed rokiem się pojawiło. Ksiądz to już zapamiętał i brał poważnie to zjawisko niezwykłe, również jak państwo Sławińscy a z niemi i cała okolica. Nawet i władza cyrkularna zaciękawiona była niezmiernie; skoro więc nadszedł ów dzień, zjechało się wiele osób i przybył komisarz cyrkularny z asystencyą wojskową, ażeby tem pewniej ująć sprawcę, gdyby ta sama historya się powtórzyła, która tak mocno wszystkich zaciekawiła. Kiedy wszyscy z trwogą i ciekawością oczekiwali, ujrzano w oknach jasność, jak stwierdzono, jeszcze większą, jak w poprzednich latach. Kościoł zaraz otoczono wojskiem, ale skoro go otworzono, już nie było światła, tylko uczuli odor zagaszonych świec i wosk na nich, jak po zgaszeniu, był ciepły i miękki. Po najdokładniejszej rewizyi wszystkich kątów i grobów, nie znalazłszy nic w kościele, nie wiedziano, co o tem sądzić. Na drugi dzień odprawiono solenne nabożeństwo za umarłych i na tem się dziwne zjawisko skończyło, nie powtarzając się już więcej.

Często dzieci coś zachowują w pamięci z bardzo młodych swoich lat, co silnem jakiemś wrażeniem tam się zapisało. Tego doświadczyłem na sobie i dziś jeszcze jasno sobie przypominam, co mając lat cztery, widziałem.

Będąc jedynakiem z powtórnego zamęścia mej matki, byłem otoczony podług ówczesnego zwyczaju wielu niańkami i licznemi zabawkami, które wprawdzie nie były tak piękne, jak są dzisiejsze i tak kosztowne, że starsi mogą się niemi bawić, ale jednak w pojęciu dziecka były również ładne i kosztowne. Bawiąc się na dywanie wieczór, zasłonięty ode drzwi parawanem, ażeby na mnie nie wiało, ujrzałem za parawanem stojącą w bieli wysoką postać. Oczywiście zerwałem się i z płaczem i wystraszony uciekłem. Kiedy niańki poczęły mi pokazywać, że nikogo nie ma, na wszystkie ich przekonywania i perswazye byłem głuchy, twierdząc uparcie, że jest biała osoba. Babka była wtenczas słaba, matka była przy niej i nie mogła mną się zajmować. Dopiero niańki po dłuższym czasie zdołały mnie za parawan zaprowadzić i przekonać, że tam nie ma nikogo. Na trzeci dzień o tej samej godzinie babka umarła.

W pięć lat po tem widzeniu małego dziecka, w tym samym prawie pokoju, wilią śmierci drugiej mojej babki, matki mego

ojca, najmniej spodziewanej, bo staruszka była zupełnie zdrową, miała moja matka takie widzenie w nocy.

Był stary zwyczaj w Kossowy, że w nocy w pokoju paliła się lampa i pokojowa dziewczyna sypiała. Matka, przebudziwszy się, zawołała na dziewczynę, ażeby się przekonała, kto wszedł do pokoju i czego chce?

— Oj, proszę WPani, niech się WPani nie gniewają, nie ma nikogo.

— Cóż znowu gadasz? — przecież patrz! stoi kobieta przy drzwiach.

Po upewnieniu dopiero dziewczyny, że nie ma nikogo, przekonała się matka, że tak jest, i zmówiwszy pacierz, zasnęła. Na drugi dzień babka dostała wybuchu krwi i wśród tego ataku w chwilę potem skonała.

Porównywując te dwa wypadki, a może tylko dziwne przywidzenia, okazuje się z nich, że były one zawsze przepowiednią śmierci osób blizko obchodzących rodzinę.

To samo stwierdza trzeci wypadek w wilię śmierci mojego ojca, który, jako dosyć dziwny, pozwalam sobie opisać.

Okolica Kossowy zupełnie nie znała, a nawet i teraz nie zna rasy psów chartów, bo wioski gęsto leżące i teren pagórkowaty z małymi laskami takiemu polowaniu zupełnie nie odpowiadają. Nikt więc psów takich nie miał; nawet domy możne, jak Zator hr. Maurycego Potockiego i innych panów, charciego polowania nie trzymały.

W czasie choroby ojca zjawił się bardzo ładny, duży chart i chociaż śród zamieszania w domu ciągle był wypędzany, powracał jednak do pokoju i stękał, czyli skomlał tak przykro, że dlatego co chwila był wypędzany. W końcu kiedy nie można było się pozbyć natręta, zamknięto go w lamusie. On zaś z pod zamknięcia, jak wszyscy ludzie twierdzili, w chwili śmierci ojca znikł bez śladu i pomimo poszukiwań późniejszych nic o nim dowiedzieć się nie można było. Nikt takiego psa nie miał w okolicy i nikt nie widział. Zapewnie zdarzenie to tylko, ale zawsze dziwne.

Podobnych przepowiedni śmierci wiele już opisano, lecz nie zaszkodzi przecież wspomnieć i to, co sam dawniej słyszałem.

Opowiadała mi matka dwa wiarygodne wypadki, jakich sama była prawie świadkiem, bo to się w jej rodzinie stało.

U pani Stanisławowej Szembekowej, staruszki ciemnej, było pełno starych i kosztownych sprzętów w jej mieszkaniu w Krakowie przy ulicy Mikołajskiej. Było tam wiele familijnych pamiątek i był

zegar szafkowy, bijący i grający różne sztuki po każdej godzinie. Antyk ten wielki i bardzo cenny po biskupach płockich, stał już od kilku lat zepsuty, bo zegarmistrze krakowscy nie chcieli się podjąć naprawy. Staruszka nie chciała się z nim rozstać i stał w sypialnym pokoju blisko łóżka, jako mebel bardzo ozdobny. W chwili, kiedy konała, zegar począł iść i wybił godzinę z jej ulubionym kawałkiem.

Matka tej Szembekowej miała bliską krewną, którą bardzo kochała, mieszkającą pod Warszawą. Przy ostatniem widzeniu się z nią dostała od niej na pamiątkę szklankę, która stała na jej komodzie, i sama tylko pani Paprocka ją zawsze obcierała z prochu, ażeby ją jaka niezgrabna ręka, jak się wyrażała, nie stłukła. Poczty za polskich czasów nie prędko przynosiły listy, skąpe dawały relacye o ludziach, w dalszych województwach mieszkających. Kiedy babka spodziewała się listu, bo dawno go nie miała, usłyszano wieczorem stuk na komodzie, który wszystkich przeraził, a szczególnie, gdy zobaczono, że szklanka na dwoje pękła. W kilka dni potem przyszła wiadomość, że tego samego dnia i o tej godzinie ta ukochana siostra umarła.

VI.

Nietylko majątki ziemskie miały znacznie niższą wartość, niż dzisiaj, i inną podstawę brano do ich oszacowania, ale to samo da się powiedzieć i o mieszkaniach w mieście.

W Krakowie w r. 1832 za drugie piętro w rynku w kamienicy Wytyżkiewicza na rogu ulicy św. Jana płaciła moja babka trzydzieści dukatów.

O ile przejazd przez granicę z Galicyi był utrudniony na komorach, to wolność w Rzeczypospolitej krakowskiej wszystkich do siebie ściągała, jak niemniej i taniość wszystkich towarów, które bez cła przywożono do miasta.

Chłopi pokryjomu przez Wisłę przeprawiali, czyli przemycali je do Galicyi, co dawało im znaczny zarobek, niektórych nawet bogaciło.

Był to prawie pierwszy moment, że zbytek w chałupach chłopskich ponad Wisłą począł się pojawiać. Bo tania kawa i cukier zaczęła się upowszechniać, jako ranne śniadanie, a jak starzy ludzie mówili, taniość bławatnych towarów niemało się także przyczyniła do upiększenia stroju hożych dziewic krakowskich. Szczególnie piękne korale poczęły zastępować paciorki z bursztynu.

Później, kiedy już sam z matką w Krakowie mieszkałem, płaciliśmy rocznie bardzo tanio za mieszkanie przy ulicy Szpitalnej w domu p. Lipińskiego. Za pierwsze piętro, składające się z czterech pokoi, kuchni, spiżarni, strychu i piwnicy ze stajnią i wozownią, 26 dukatów rocznie. Tak samo, może nawet jeszcze taniej płaciliśmy przy ulicy Zwierzynieckiej blisko plantacyj, z ładnym widokiem na Zamek, za pierwsze piętro w domu pani Będziszewskiej rocznie 81 złp.

Chodząc dowolnie na uniwersytet, byłem zapisany na niektóre wykłady panów profesorów: Michała Wiśniewskiego historyi i literatury, Floryana Sawiczewskiego chemii, Kleczyńskiego fizyki, Czerwiakowskiego botaniki, Muczkowskiego bibliografii, Estreichera mineralogii i t. p.

Z Galicyi miałem wielu kolegów, jednak najsilniejsze węzły przyjaźni łączyły mnie z Atanazym Benoe z Niegowici w Bocheńskiem i z dwoma Polanowskimi, Feliksem i Stanisławem, z Moszkowa w Bełzkiem. Prócz tych z Augustem hr. De Lavaux, Henrykiem baronem Konopką, Edmundem Halerem, synem prezesa Rzeczypospolitej, i Michałem Romerem. Z Królestwa żyłem z Witołdem hr. Polityłą, z Karolem Wodzyńskim, synem kasztelana.

W wielu domach bywałem sam lub z matką i raz miałem fatalne zdarzenie na balu u pani Romerowej.

Przyszedłszy późno, zostałem przez mojego kolegę, syna gospodyni, przyjęty z wymówką:

— Jesteś nieznośny, zawsze się spaźniasz, a tu czekają danserki.

— No, to kiedy tak, to prowadź mnie prędko.

Kiedy weszliśmy do salonu, po przywitaniu okazało się, że oprócz jednej pani, która tego tańca już odmówiła, nie ma więcej wolnych danserek. Siadłem więc koło tej pani i prowadząc rozmowę, spostrzegłem, że niedaleko od nas siedzi dr. Woźniakowski, świeżo po skończeniu nauk przybyły z Paryża, ładny mężczyzna i zdolny lekarz, ulubieniec kobiet — i że ci państwo oboje mile na siebie spoglądają.

Zaangażowawszy ładną panię, postanowiłem zaraz zająć miejsce szczęśliwego doktora, co z początku szło mi nie źle, bo pani uprzejmie przyjmowała grzeczności. Ale kiedy potem wśród mazura danserkę wybrano do figury i pozostało miejsce wolne między mną a tym panem, skorzystałem z tego i zawiązałem rozmowę. Nie wiem już, czy mi ktoś mylnie powiedział, czy może samemu tak mi się wydało, że w salonie drugim, gdzie panowie w wista grali, gra także jej stary mąż.

— Prawda, że ładna? a co lepsze to, że ma podobno starego niedołęgę męża.

Na to pan ów podniósł się pomału z krzesła i z uśmiechem oświadczył mi:

— Słusznie pan ma, że jest ładna, i to mnie cieszy, że się w gustach zgadzamy, lecz dlaczego męża pan ma za starego niedołęgę, tego prawdziwie nie wiem, bo ja nim jestem...

Co się w tej chwili ze mną stało, trudno mi opisać. W oczach mi pociemniało, jak gdyby wszystkie światła zagasły, tańczyłem już bez taktu, jak wróbel na nitce, i ledwo mazur się skończył, porwałem kapelusz i czem prędzej umknąłem do domu.

Pomyłka taka mogła się tylko zdarzyć chłopcu dziewiętnastoletniemu, wcześnie wyzwolonemu na kawalera a z natury dosyć żywemu.

Był to senator Bogusz ze swoją ładną żoną, o którą był zazdrosny i był bardzo podobny do dr. Woźniakowskiego, tak, że często brano jednego za drugiego.

VII.

Z monety srebrnej cwancygiery najdłużej się utrzymały, gdyż wyżej sto lat istniały w Austryi — sam posiadam cwancygiera z r. 1760. Trzy szły na jeden reński. Były i półcwancygiery — często na jednych i drugich wybity był wizerunek Matki Boskiej.

Sąsiad moich rodziców, pan Stanisław Wężyk w Paszkówce, będąc trochę dziwakiem, kładł za warunek swoim dzierżawcom, iż raty mają składać czystymi cwangierami, co znaczyło mytymi, i chronologicznie podług lat wybicia skonsygnowanymi, a główkami równo ułożonymi na stole.

Trzymali się dzierżawcy ściśle tego oryginalnego w swoim rodzaju warunku, bo pan Wężyk uchybienie nie łatwo przebaczał, a wioski miał ładne i tanio je wypuszczał.

Były to już resztki dawniejszych oryginałów z łagodniejszym charakterem, niż starosta kaniowski i jemu podobni za czasów Rzeczypospolitej.

Najwięcej się jednak ich zachowało na Podolu. Takim był Samuel hr. Golejewski, stary kawaler. Był postrachem nietylko swojej wsi i swojej służby, ale i sąsiedzi go się bali, bo nieraz im dokuczał i ledwie z kilkoma żył w zgodzie.

Jak zwykle tu na Rusi — cerkiew w Chlibowie była blisko dworu. Ksiądz łagodny nie podobał się hrabiemu i postanowił go się pozbyć. Począł więc nudzić go ciągłymi interesami, jakie wynajdywał; ażeby go i w nocy nękać, co chwila wysyłał kozaka z nowem zapytaniem.

Najprzód kiedy ksiądz ledwie zasnął, budziło go pukanie w okno z zapytaniem, która godzina, bo panu hrabiemu zegar się popsuł. Ledwie jeden kozak odszedł, nadbiegał drugi z zapytaniem, jakie święto jutro i tak dalej przez całą noc.

Takie uprzejme przerywania snu, codziennie się powtarzające, zniewoliły spokojnego proboszcza, że przeniósł się na inną parafię. Był to jeszcze środek łagodny.

Bali go się nawet w cyrkule i dlatego twierdzono, że powodem śmierci jego, dotąd niewyjaśnionej, czyli morderstwa dokonanego w nocy, był jego burzliwy i niespokojny charakter. Bo zaledwie się skończyły wypadki na Mazurach w r. 1846, w kwietniu przed Wielkanocą w Tarnopolskiem straszna ta zbrodnia wszystkich przeraziła i nowy popłoch w Galicyi rzuciła. Przypisywano staroście Zacherowi, że z namowy jego ktoś ją wykonał, bo po uwiezieniu przedtem hr. Golejewskiego na jakąś denuncyacyę, miał powiedzieć do Zachera:

— Porachujemy się za to!

Nie ze srogości, ale ze swoich różnych, dosyć oryginalnych dowcipów pozostał w pamięci marszałek Szumlański.

Miał przysłowie „Mopanie“, które co chwila w rozmowie powtarzał. Opowiadał, że będąc w Moskwie, Napoleona w ten sposób przez Berezynę przeprawił, iż widząc grożące niebezpieczeństwo, obrał wąskie miejsce i przerzucił go przez wodę i, Mopanie, tak szczęśliwie, że tylko cesarz zadrasnął się w rękę pałaszem.

Czarnokońce, w których mieszkał, mające cztery tysiące morgów roli, potrzebowały maszyn rolniczych: namawiano więc marszałka, by je u siebie zaprowadził.

— Mopanie, to wszystko głupstwo. Miałem już różne i mój pług parowy, jak się wyrwał maszyniście, to całe Podole zorał i teraz jeszcze, Mopanie, gdzieś koło Czarnego Morza dzikie stepy orze.

VIII.

Śmierć Golejewskiego dała pierwszy powód wynoszenia się do miast. Przestrach, szerzący się w całej Galicyi, przed powtórzeniem

tylko co przebytych wypadków w lutym, zniewalał bogatych i tworzliwszych do opuszczania wsi.

Poczęły się zaludniać wszystkie miasta większe obwodowe, które przedtem nikogo do siebie nie ściągały, nie mówiąc już o Lwowie, który jako stolica kraju zawsze miał amatorów.

Tak samo i Kraków po wcieleniu go do Galicyi zaraz po wypadkach w roku 1846 począł się zaludniać mieszkańcami nietylko z Galicyi, ale i z Królestwa i z Litwy i z prowincyi zabranych, jak Wołyń i Podole. Pomału podniósł się do stanu świetnego, jaki do dziś dnia istnieje, a jakiego przed tem przez długie bardzo czasy był pozbawiony po przeniesieniu stolicy do Warszawy.

Wsie, choć się z dawnych właścicieli wyludniły, były zawsze jeszcze dosyć dobrze zamieszkane. Nie było tej próżni, jaka dziś istnieje i coraz więcej się wzmaga w powiatach, że często sąsiada o milę trzeba szukać, a rad powiatowych trudno dobrze złożyć.

Pamiętam, młodym będąc, zrobiłem zakład, że wyjechawszy z Drobiczówki koło Jazłowca od mego starszego brata Leoncyusza do samej Kossowy, leżącej za Krakowem, nie będę nigdzie popasał i nocował w karczmach, ale wszędzie co 4—5 mil drogi będę się zatrzymywał na noclegi u znajomych.

Zakład nie przyszedł do skutku, chociaż pokazało się, że więcej miałem znajomych na całej tej linii, jaką obrałem, pomijając Lwów, aniżeli potrzebowałem do wygrania zakładu; znajomych, którzy niedalej jak o trzy mile mieszkali jeden od drugiego, a czasem nawet bliżej.

Dziś przeglądając te notatki niedoszłej podróży, przekonywam się, że z wymienionych znajomych po pół wieku, a przynajmniej tych samych rodzin, gospodarujących na tej drodze, mającej blisko 70 mil, ledwie już kilka zostało. Ubytek to wielki i dla naszej sprawy narodowej nader bolesny, bo musimy przyjąć ten stosunek i na innych szlakach, idących ze wschodu na zachód, a tem samem i w całym kraju.

Gościńców murowanych mało jeszcze było, za to traktów handlowych było kilka i ja jednym z nich miałem jechać.

Drogami temi szedł handel wołów, świń, owiec na własnych nogach. Dziś przy powstaniu coraz lepszych gościńców nie można już odszukać owych starych polskich szlaków, którymi dawniej, oryentując się swoimi znakami, wpadały do nas hordy tatarskie i tureckie, niosąc śmierć i zniszczenie okolicom, przez które przechodziły, a szły też równie często chorągwie pancerne i inne znaki

rycerskie bronić kraju od całkowitego zniszczenia i wyludnienia, toczyły się karety hetmańskie i kolaski braci szlachty.

Szlak dawny, o którym jest wspomnienie w dyaryuszu ajenta Kondeusza Verduma, którym on jechał do Brzeżan do hetmana Sieniawskiego — szedł na Przemyślany, wsie Bryków, Wołków, Stanimierz i zapewne musiał być znaczny, bo jeszcze w tej ostatniej wsi można widzieć szeroką drogę, przy której stoi stara figura pośród olbrzymich lip. Więcej śladów po nim się nie zachowało.

(Dokończenie nastąpi).

Aleksander Wybranowski.

KRONIKA LITERACKA.

Publiusza Korneliusza Tacyta Żywot Juliusza Agrykoli i Roczniki. Tłómaczył Władysław Okęcki, Dr. o. p. — Kraków, Gebethner i Spółka, str. 459.

Tacyt należy do pisarzy, o których nie spotyka się sądów obojętnych; ma on albo wielbicieli — i tych jest ogromna większość — albo nieprzyjaciół. Nieprzyjaciele jego — jak Napoleon — nie mogą mu darować, że despotyzm napiętnował w oczach wieków zgłoskami niezatartemi, zresztą i oni uważają go za wielki talent. Mistrz formy, jest Tacyt przedmiotem podziwu dla natur artystycznych; tych, którym zmysłu artystycznego brak, pociąga w Tacycie psycholog. Czasy, w których Tacyt żył, nie wydały bohaterów, godnych jego spiżowych słów. Na to urodził się Tacyt za późno. Powinien on był przyjść na świat za republiki, za wojen punickich i Scypionów; wtedy byłby znalazł postacie odpowiednie dla swego dłuta. Ale jeżeli pierwszy wiek cesarstwa nie wydał wielkich ludzi, to nie brak w nim było postaci w wysokim stopniu ciekawych dla psychologa. Przedewszystkiem postacie takie znaleźć można na tronie. Tacyt odsłania nam z nieubłaganem okrucieństwem anatoma nerw każdego ich postępku. Jego Tyberyusz jest arcydziełem misternej analizy psychologicznej. Mniej, co prawda, udał mu się Neron. Cesarz ten jest postacią, stanowiącą dla psychologa problem nielada z powodu dziwnej sprzeczności, niejako dwoistości jego natury. Z jednej strony upodobania artystyczne, z drugiej instynkty krwiożercze, instynkty, które przecież z miękkością natur artystycznych w rażącej pozostają sprzeczności. Sprzeczności tej nie wyjaśnił Tacyt. Nic dziwnego, wszak nawet nasze psychologiczne stulecie nie zdobyło się na to dotychczas. Ciągle jeszcze przedstawia się Nerona jako człowieka o dwóch duszach: duszy zwierza dzikiego i duszy artysty, obok siebie istniejących, nie szukając pomostu psychologicznego pomiędzy jedną a drugą naturą. Nawet pisarz z takim

psychologicznym zmysłem, jak Sienkiewicz, nie zdołał wznieść się ponad szablon w pojęciu tej postaci.

Łatwo zrozumieć, że kiedy uczony, jak Okęcki, zmuszony wypadkami, zamienił katedrę na lemiesz, kiedy od prawa rzymskiego przeszedł do roli, — szukając podczas swych wiejskich *otia* pisarza, którymby się zajął, wybrał Tacyta. Pisarza tego poznał p. Okęcki w długiem i ścisłem z nim obcowaniu gruntownie i pokochał gorąco. Do spolszczenia go zabrał się też nie z obojętnością rzemieślnika, lecz z upodobaniem artysty. Przy wrodzonem poczuciu formy musiał przekładu w tych warunkach dokonać dobrze.

Prof. Okęcki zdał sobie jasno sprawę, czem powinien być przekład pisarza obcego na język ojczysty, i z indywidualnych właściwości pisarza, którego miał przekładać. Najcharakterystyczniejszą z tych właściwości historyka rzymskiego jest zwięzłość. Tłómacz starał się usilnie o oddanie tej zwięzłości. „Pozwolę sobie zwrócić uwagę", powiada w przedmowie, „żem dla ulżenia sobie albo czytelnikowi mozołu na pewno nigdy ani jednej myśli, chyba bardzo wyjątkowo jakiś wyraz wtrącił albo uronił: iż, gdyby poprostu mechanicznie rozciągłość mej pracy przystosować do pierwowzoru, tenby na swą korzyść w krótkości różnicę chyba bardzo niewielką mógł wykazać." Zapewnienie to jest zupełnie zgodne z prawdą. Prof. Okęcki starał się o jak największą wierność: tłómaczy ile możności dosłownie i dąży do tego, by wyraz łaciński oddawać i w polskim języku zawsze tylko jednym wyrazem. Ten sposób tłómaczenia przyczynia się do zapewnienia przekładowi wierności, mieści w sobie jednak niebezpieczeństwo: oto w polskim języku trudno nieraz znaleźć wyraz zupełnie odpowiadający łacińskiemu, a nie chcąc uciekać się do opisania wyrazu łacińskiego dwoma polskimi, oddaje się go wyrazem niezupełnie odpowiednim. Tacyt, który z powodu swej zwięzłości bywa nieraz niejasnym, musi się w przekładzie stać przy podobnem dążeniu do zwięzłości miejscami wprost ciemnym. I tłómaczenie prof. Okęckiego nie zdołało uniknąć tego niebezpieczeństwa w zupełności. Zdania, jak: „Pierwszy Varusa obóz, szerokim obwodem rozmiarem okólnika, okazywał prace trzech legii" (Ann. I. 61), stają się skutkiem unikania opisań niejasnemi. Ellipsy oryginału naśladuje prof. Okęcki i w przekładzie, a w tem dążeniu do wierności idzie tak daleko, że zatrzymuje nawet takie ellipsy, które w języku łacińskim są możliwe, ale w polskim brzmią twardo. „Gdy po zaboju Brutusa i Cassiusa żadnych już wojsk narodowych (dom.: nie było), ... Caesar . . . mało pomału się wzbija" (Ann. I. 2). „Przez wzgląd na dobro rzeczypospolitej, w której żadnego w on czas dla praw miejsca, zapędził się w wojnę domową" (Ann. I. 9). — „Pokój, co prawda, potem, ale krwawy" (Ann. I. 10).

„Rzadkie po Italii niwy Caesara, skromna czeladź, u dworu szczupło wyzwoleńców! a, jeśli się kiedy z prywatnymi prawował, trybunał i zakon“ (Ann. IV. 7). — Dążenie do wiernego oddania już nie liczby wyrazów, lecz ich znaczenia pierwotnego sprawia także, że tłómacz staje się niekiedy niejasnym. „Słowa, ruchy twarzy (Tyberyusz) w zbrodnię obracając chował“ (Ann. I. 7). W języku polskim daleko trudniej jest zrozumieć wyrażenie „chował“ niż w łacinie *recondebat*. „Co w całości własną ręką spisał August z dodatkiem rady zawarcia państwa w obrębie, niewiedzieć, z obawy czy zazdrości“ (Ann. I. 11). W łacinie łatwo zrozumieć słowa „*coërcendi intra terminos imperii*“, w języku polskim koniecznie pytamy, w jakim obrębie? To samo powiedzieć należy o wyrażeniu: „posłyszawszy o skonie Augusta i wstąpieniu Tyberyusza“ (w łacinie: *initiis Tiberii*, Ann. I. 16). Zbyt ściśle trzyma się też tłómacz oryginału w miejscach, jak: „*Placuit tamen occultior via et a Druso incipere*“ (Ann. IV. 3). co oddaje: „Upodobał jednak skrytszą drogę i zacząć od Drususa“. Nie widzę również powodu, aby pluralis pojęć oderwanych zachowywać i w polskim języku („Cassiusa i Brutusa śmiercie (tak)“, „w letnich obozach“ itp.) lub superlativus, który nie wyraża porównania, oddawać przez superlativus, jak w wyrażeniach: „ród najświetniejszy“ (zam. bardzo świetny). Nie można też pochwalić takiego połączenia zdań, jak: „o czem gdy się dowiedział“, „nie przeto jego gniew ugłaskał“ *(nec ideo)*. Razi dalej zachowanie szyku łacińskiego w zdaniach, jak: „Zresztą August podpory panowania, Claudiusa Marcellusa, syna siostry, nader młodocianego, arcykapłaństwem, krzesłem edylskiem, Marcusa Agrippę, nizkiego stanu, dzielnego wojaka i zwycięstw towarzysza, zdwojonym konsulatem opatrzył“ (Ann. I. 3).

Nieścisłość, polegająca na opuszczeniu w przekładzie jakiegoś wyrazu oryginału, zdarza się całkiem wyjątkowo, tak n. p. IV. 3, gdzie, widocznie przez pomyłkę, nie przetłómaczono wyrazów: *amicus ac medicus Liviae;* I. 14, gdzie opuszczono konieczne w tem miejscu *sibi*, lub VI. 25, gdzie pominięto wyraz *adulterum*.

Czasem tłómacz niepotrzebnie polszczy nazwy techniczne, co wywołuje niejasność. Czytając IV. 2 słowa: „pomierną przedtem władzę naczelnictwa wzmógł“, czytelnik polski z trudnością tylko przy wyrazie „naczelnictwo“ odgadnie, że chodzi tu o prefekturę. Podobnie czytając I. 15 wyraz „stany“, rozumiał będzie, że chodzi tu o *ordines* (senatorski, rycerski i plebejski), podczas kiedy w oryginale znajduje się wyraz *tribus*. *Equites* tłómacz oddaje przez szlachta (!), *comitia* przez wiece, *imperator* przez hetman, *centuria* przez niepolskie sotnia. Niekiedy takie polszczenie wyrywa nas z stosunków starożyt-

tnych, a przenosi w nowożytne: tak, gdy czytamy o „majdanach obozowych“.

Wyraz majdan naprowadza mnie na kwestyę archaizmów. Prof. Okęcki używa archaizmów często. Czy słusznie? Mojem zdaniem nie. Na kwestyę dopuszczalności archaizmów zapatrywać się można, jak mi się zdaje, tylko z następującego punktu widzenia. Przekład winien robić na czytelniku to samo wrażenie, co oryginał. Otóż, jeżeli oryginał zawiera archaizmy, są one usprawiedliwione i w przekładzie. Natomiast, gdzie oryginał archaizmów nie zna, winien ich unikać i przekład. Jest to zasada, z której tłómacze nowożytni najczęściej nie zdają sobie sprawy. Uzasadnione są n. p. archaizmy z autorów łacińskich w Plaucie, ale w Tacycie nie, bo ten archaizmów nie używa. Dlatego też nie mogę się zgodzić na wyrażenia, jak: fryjerz, fołdrownik, leciwy, przewiedziony o coś (= przekonany), swadźba siostry, lutość, z naprawy czyjejś (= za sprawą), kajanie, ostawać, parać się, dla cześci (= czci), k' wielkiemu pośmiewisku.

Nie można dalej pochwalać użycia takich wyrazów, jak: skarżca, poosobny, zabój (= zabicie), wyzwolonka (= wyzwolenica), obłog (= oblężenie), chełpa (= chełpienie się), zbór (n. p. ludu, = zebranie), wybredy w zbytkach, zatraceniec (= skazany), chytrek, cwałać się *(volitare)*, mało pomału, bywszy (= były) pretor i t. d.

Pomijając niezbyt zresztą liczne miejsca, w których myśl nie jest oddana wiernie, wspomnę tylko o kilku błędach natury językowej. Należy do nich przedewszystkiem oddawanie zaimka względnego w takich zdaniach, jak: „Żadnych pierwszego dnia senatu nie dopuścił rozpraw, jak o ostatkach Augusta; czyj (zam. którego) testament stanowił dziedzicami Tiberiusa i Livię“ (I. 8) lub: „Julia, niegdyś Neronowa żona, małżeństwem w dom Rubelliusa Blandusa popadła, czyjego (zam. którego) dziada wielu pamiętało“ (VI. 27). Z innych rzeczy wytknąć należy germanizmy jak: „coś podpada“, „ograniczać się na czemś“.

Mimowoli musiałem zatrzymać się dłużej nad usterkami, od których żaden przekład a więc i przekład prof. Okęckiego nie może być całkiem wolny. Uczyniłem to dlatego, aby wskazać, czegoby należało unikać w przekładzie innych pism Tacyta, jak Historyi i Germanii, którym nas tłómacz zapewne zechce obdarzyć. Pospieszam jednak zaraz zaznaczyć, że usterki te znikają wobec wielkich zalet przekładu. Z porównania z przekładem Naruszewicza przekład prof. Okęckiego wychodzi zwycięsko. Różni się od niego na korzyść przedewszystkiem pod wzglę-

dem wierności, przytem jest od niego zwięźlejszym a temsamem również więcej do oryginału zbliżonym. Oto próba przekładu:

„A zaś w Rzymie rwą się do niewoli konsulowie, senat, rycerstwo: im kto bardziej na świeczniku, tem obłudniejszy i skwapliwszy: a z twarzą ułożoną, iżby nie wyglądali ani weseli ze skonu księcia, ani z pierwiastków za smutni, mieszali łzy, wesołość, żale, pochlebstwo. Sextus Pompeius i Sextus Apuleius, konsulowie, pierwsi Tiberiusowi Caesarowi przysięgli na posłuszeństwo; w ich ręce Seius Strabo i Gaius Turranius, ów przełożony kohort pretoryańskich, ten nad zbożami: niebawem senat i wojsko i naród. Tiberius bowiem wszystko poczynał od konsulów, jakby za dawnej Rzeczypospolitej i niepewny panowania. Obwieszczenie nawet, którem senat do izby zwołał, nieinaczej wystawił, jak z nagłówkiem władzy trybuńskiej, za Augusta otrzymanej. Słów obwieszczenia było skąpo i treści nader skromnej, jako „naradzi się względem uczczenia rodzica i od zwłok nie odstąpi i tę jedne z urzędowych czynności przywłaszcza. Ale po zejściu Augusta hasło pretoryańskim kohortom dał jako imperator; straże, zbroje i reszta dworszczyzny; żołnierz na rynek, żołnierz do izby towarzyszył. Listy do wojsk porozsyłał, jak gdyby posiągł panowanie, zawsze pewien siebie, chyba że przemawiał w senacie.“ (I. 7).

Wydanie poprzedza przedmowa, w której tłómacz zwraca się do profesora Kazimierza Morawskiego, poświęcając mu swą pracę. Prof. Okęcki nie mógł zrobić szczęśliwszego wyboru, jak dedykując swój przekład najlepszemu dziś w Polsce znawcy Tacyta i jednemu z najlepszych znawców tego pisarza w Europie. Dowody zamiłowania w Tacycie i głębokiego wniknięcia w niego złożył prof. Morawski w pracy „Dwaj cesarze“, należącej do pereł naszej literatury naukowej. Charakterystyka Tyberyusza w niej zawarta stoi ze względu na niezrównaną analizę psychologiczną i świetną formę na równi z najznakomitszemi tego rodzaju studyami zagranicznemi. Niech mi wolno będzie na tem miejscu wyrazić nadzieję, że prof Morawski obdarzy nas może kiedyś dłuższem studyum o Tacycie. — Prof. Okęcki wyłuszcza w przedmowie powody, które go skłoniły do podjęcia przekładu wielkiego pisarza starożytnego. Jednym z nich był cel pedagogiczny. Tłómacz zastanawia się nad przyczynami, które wywołały w naszych czasach walkę przeciw filologii. Uwagi jego są bardzo rozumne, nie dotykają jednak przyczyny najważniejszej ze wszystkich, a którą jest rozszerzenie się kierunku utylitarystycznego w drugiej połowie XIX. stulecia. „Szkoła ma uczyć tylko tego, co jest wprost potrzebne do życia“, wołają liczne głosy, zapominając, że celem wychowania nie jest wypełnienie głowy wiadomościami, lecz rozwinięcie władz umysłowych, z któremi potem młody

człowiek da sobie już rady w życiu. Do tego zaś celu z języków żadne się tak nie nadają, jak starożytne. To też z prawdziwą przyjemnością słyszy się z ust uczonego prawnika apologią nauk humanistycznych, podniesienie znaczenia, jakie obok nauk rzeczowych ma „ćwiczenie młodzieży w myśleniu na ludzkich prawidłach opartem.“ Pewną niekonsekwencyą jest przy tem stanowisku zdanie o za małym może pożytku z nauki greczyzny. Wszak sam szan. tłómacz uznaje, że „tylko, co z trudem przychodzi, idzie w pożytek“ i że „nauka, aby być pożyteczną, winna być w miarę trudną, gdyż każda napotkana trudność wymaga koniecznej chwili zastanowienia.“ Odmienny częściowo sposób myślenia starożytnych, przedewszystkiem Greków, stanowi właśnie zaletę nauki języków klasycznych, szczególnie zaś języka greckiego.

Następuje potem głęboka charakterystyka talentu Tacyta i jego stylu. Należy ona do najpiękniejszych rzeczy, które się o wielkim historyku czyta. Prof. Okęcki, widać to, zna i kocha swego pisarza. Posępny koloryt i ponurą atmosferę, którą wytwarzają u Tacyta nieustanne zbrodnie i ohydy, odczuwa on z wrażliwością artysty, widzi też wielkość etyczną pisarza rzymskiego, który wśród spodlenia, ogarniającego nawet najwyższe warstwy narodu, bo senatorów, stoi moralnie wysoko i mierzy innych, dociągając ich do swego stanowiska. Pięknem jest zestawienie Tacyta z Dantem i z Michałem Aniołem. Z innych geniuszów porównałbym go z Beethovenem: obaj umieją targać duszą ludzką, u obu równa głębokość, podniosłość i majestatyczność, obaj też potrafią w razie potrzeby zdobyć się na miękkość uczuć. Wystarczy przypomnieć z Tacyta ustęp, kreślący powrót Agrypiny po stracie męża Germanika: „Skoro z dwojgiem dziatek, popielnicą w ręku, wynurzyła się z okrętu, oczy utkwiła, jeden wszystkich jęk: i nie rozeznałbyś najbliższych, obcych, mężów a niewiast łkania; chyba że kto wychodził na spotkanie, świeżą boleścią górował nad orszak Agrippiny, długim smutkiem znużony.“ Działa to po obrazach grozy, jak tony *moll* jakiegoś adagio z sonaty Beethovena. Albo to wyznanie, które wyrywa się z piersi wewnątrz kipiącego, na zewnątrz spokojnego pisarza: „Ale mnie od służalczej cierpliwości i tyla krwi doma zmarnowanej nuży się i żałością ściska serce.“ To jakby jęk szarpanej i w końcu wybuchającej duszy twórcy dziewiątej symfonii.

Stanisław Witkowski.

Dr. Kasimir von Rakowski: *Entstehung des Grossgrundbesitzes im XV. und XVI. Jahrhunderte in Polen.* Posen. Druck und Verlag von Martin Biedermann, 1899, str. 56.

Niewielka rozmiarami, ale interesującej treści ta broszurka jest ciekawym przyczynkiem do historyi stosunków agrarnych oraz do dziejów ewolucyi społecznej w Rzeczypospolitej polskiej. Autor opiera się głównie na rezultatach, osiągniętych przez ś. p. Pawińskiego, Stawiskiego, Balcera i in.; grupuje je jednak w sposób odpowiedni do swego ciekawego tematu, uzupełnia własnemi spostrzeżeniami ze źródeł zaczerpniętemi i dochodzi do wcale interesujących konkluzyj. Rzecz napisana jest ściśle według metody naukowej. Autor zaznajamia zatem czytelnika przedewszystkiem ze źródłami, co było tem bardziej potrzebne, iż rozprawa, pisana po niemiecku, musiała z góry poinformować świat niemiecki, interesujący się zagadnieniami z przeszłości Polski, o rodzajach źródeł, na których badania stosunków ekonomicznych w Polsce w w. XVI. oprzeć można. Następnie daje p. Rakowski zwięzły pogląd na agrarno-polityczne stosunki w Polsce od czasów najdawniejszych, przyczem broni tezy, że stosunki te rozwinęły się nie z zasady odrębnego pochodzenia szlachty a odrębnego pochodzenia niższych warstw ludu, lecz mimo jednolitości ich pochodzenia jako następstwo powolnej przemiany ustroju, opartego na przynależności do wspólnych rodów *(gens)*, w nową formę a to wskutek częstej zmiany posiadania w drodze kupna-sprzedaży i rozwijającej się ciągle władzy książęcej, która, pragnąc zapewnić obronę kraju przed najazdem, rozdawała swym *comites* coraz to nowe obszary, czy to uprawne już, czy też jeszcze niezajęte, a więc przeznaczone dopiero do kolonizacyi. W ten sposób w jednolitem zrazu społeczeństwie wytworzyła się z czasem szlachta, oraz powstali chłopi wolni i poddani. — Z kolei zastanawia się autor obszerniej nad wielkim wpływem na ukształtowanie się stosunków agrarnych w Polsce, jakie miała kolonizacya niemiecka w w. XII., XIII. i XIV., to następstwo wielkiego braku sił roboczych do uprawy ogromnych przestrzeni, oraz przedstawia zmiany w stosunkach, jakie zaszły przez tworzenie osad na prawie niemieckiem. Osobno omawia autor sprawę t. zw. szlachty chodaczkowej *(nobiles pauperi)*, poczem daje treściwy obraz ustroju gminnego w Polsce w XIV. wieku oraz zmian, jakie zaszły w tym kierunku w w. XV., ktory autor uważa za okres przejściowy w ukształtowaniu się stosunków między ludnością włościańską a właścicielami dóbr. Zwrot ten charakteryzuje się na zewnątrz wzrostem roli dominialnej a zmniejszaniem się gruntów chłopskich, na co wpłynęły przeważnie: rozwinięcie się targu zbożowego i eksportu zboża z Polski oraz wprowadzenie obowiązkowych świadczeń ludności włościańskiej na gruntach pańskich. To ostatnie przygotowy-

wało się zwolna przez ścieśnienie swobody przenoszenia się włościan z miejsca na miejsce i t. d., aż wreszcie datuje się stanowczo od sejmu toruńskiego w r. 1520, kiedy to przyszła do skutku ustawa, iż wszyscy chłopi, bez różnicy swych innych przywilejów i swobód, są obowiązani przez jeden dzień w tygodniu pracować dla pana. Ustawa ta stała się punktem wyjścia dla formalnego przewrotu w ukształtowaniu się stosunków społecznych, za nią bowiem poszły dalsze zmiany, jak uznanie stosunku między chłopem a dziedzicem za wewnętrzną, domową ich sprawę, jak zabronienie chłopom występowania przed sądami jako strona cywilno-prawna i t. d. Równocześnie wywóz zboża sprowadza do kraju wielkie kapitały i wzbogaca kraj.

Obraz tego przewrotu ekonomiczno-społecznego i ogólne na ten temat wywody kończy dr. Rakowski następującą uwagą: „Wywóz zboża był nowym ważnym czynnikiem w wewnętrznem życiu Polski. Bogactwo, zanim poczęło oddziaływać w kierunku ujemnym, oddziaływało naprzód użyźniająco. Kwitnęły sztuki, literaturę polską uświetniły dzieła pierwszorzędnej wartości. Z kapitału duchowego, nagromadzonego w owej epoce, żyły prawie dwa następne stulecia. A jednak ekonomiczny rozwój owej epoki zawierał w sobie zarodki późniejszego rozkładu, gdyż socyalnym rezultatem przedstawionego przewrotu było wytworzenie się proletaryatu rolniczego. W miejsce samoistnych chłopów wchodzi rolniczy wyrobnik dzienny, którego wykazy podatkowe klasyfikują jako *pauper* (biedny). Od XVI. stulecia chłop nie wydobywa się już na powierzchnię socyalnego i ekonomicznego życia w Polsce. Agrarny przewrót w XVI. w. w Polsce kończy się zatem zniszczeniem licznych samodzielnych żywiołów.“

W dodatku podaje dr. Rakowski opracowanie statystycznych tablic ś. p. prof. Pawińskiego (Źródła dziejowe, tom XIV. i XV.), o ile one tyczą się tematu rozprawy, przyczem dochodzi do ostatecznego wniosku, brzmiącego ostro, że: grunta chłopskie, ich rozmiary i ich liczba, zmniejszają się w miarę, jak rośnie liczba komorników i chałupników, a w tem przebija się najwyraźniej panująca tendencya rządzących wówczas stronnictw: aby dawniej włościańskie grunta uprawiać dla siebie rękami komorników, i aby z chłopów, którzy gospodarowali na własnej ziemi na swój rachunek, urobić komorników i chałupników.

(ab)

Michał Żmigrodzki: *Geschichte der Baukunst der Araber und der Bauweise der Mauren in Spanien.* — Kraków 1899, str. 89 i tablica.

Jest to inauguracyjna dysertacya doktorska na uniwersytecie w Heidelbergu, zasłużonego znawcy archeologii krajowej, badacza historyi sztuki i folklorystyki, kustosza biblioteki Branickich w Suchej, dra Michała Żmigrodzkiego. Niedawno drukował *Przewodnik nauk. i liter.* rozprawę tego autora, p. t. „Auxiliary“ (r. 1894). W czasie dwukrotnych swych podróży po Hiszpanii mógł autor osobiście dokładnie oglądnąć i zbadać zabytki stylu maurytańskiego, a owoce swych studyów złożył właśnie w zacytowanej, interesującej rozprawie.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.